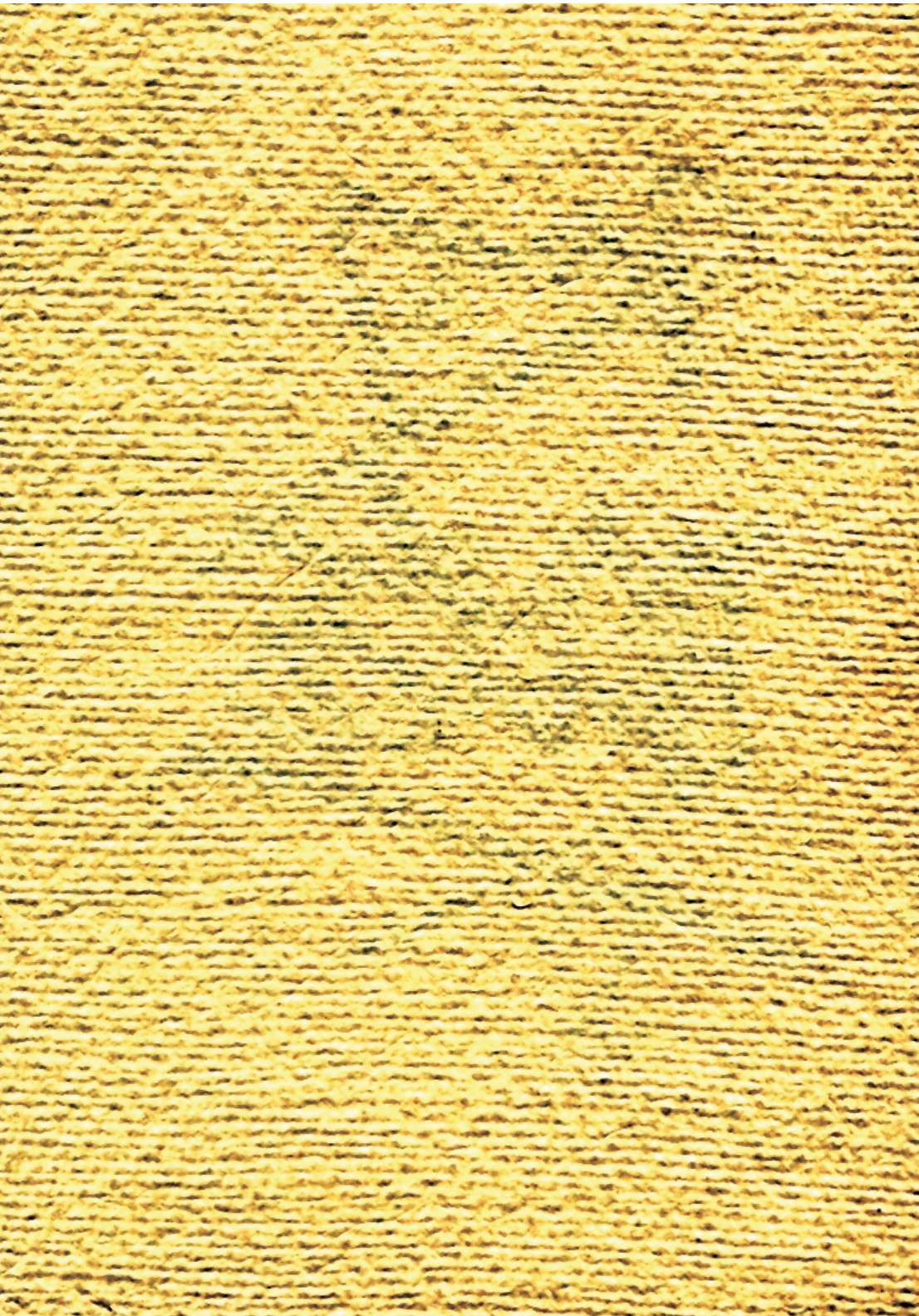


1996  
3

---

Wrocław / Vratislav / Breslau







**JUŻ 32 strony! A nakład? Aż 200 egzemplarzy... W nrze m. in.: male prozy, eseiki, noty (m. in. o Głowińskim, Karpowiczu i słowniku wulgaryzmów), przyczynki o Rafale Wojaczkę. Ponadto: listy czytelników, Wydawnictwo Literackie o Ernieście Dyczku. I ani słowa o Leszku Przyjemskim (w przygotowaniu szczegółowy spis imion jego 23 kotów!).**

# Przecinek

Male prozy  
i marginalia  
Jerzego Pluty

Wrocław – 1996, z. (-) 33

Redaktor: Piotr Czyżyk

Seria 1 (minusowa): na prawach rękopisu \* © Copyright by Jerzy Pluta \*  
Wszystkie prawa zastrzeżone / All rights reserved \* Zezwolenia na druk  
(lub tłumaczenia) udziela Jerzy Pluta, 53-533 Wrocław,  
ul. Zielińskiego 43 m. 10, tel. (071) 61-75-39\*

## Od redaktora

Jednak się ukazuje trzeci zeszyt... Niektórzy pytają Szefa, niektórzy pytają mnie – po co to? Do kogo trafia *Przecinek*? Nie wiem, kto go czyta; wiem natomiast, że (wcielając w życie koncept Urszuli Kozioł opisany kiedyś w *Odrze*) to *Przecinek* na razie wybiera sobie ew. czytelników... A czy potem jest czytany/kartkowany, to już zupełnie inna historia. Tak czy owak: Szef przyjął zasadę wzrostu (nie wiem, czy mądrą); każdy nr pierwszej serii jest coraz grubszy i ukazuje się w większym nakładzie. Mam nadzieję, że ukażą się w 1997 r. co najmniej dwa zeszyty serii I. A potem (jeśli pojawi się wujek z Ameryki) będzie się ukazywać seria II (zerowa), dostępna w niektórych księgarniach.

Przypominam, że *Przecinek* to nieco „poetyckie” przedsięwzięcie wydawnicze: i żart, i pismo serio. Wszystkie teksty (oprócz notek sygnowanych moim nazwiskiem) są autorstwa Szefa, czyli Jerzego Pluty.

Oto mecenasi trzeciego *Przecinka*: Ernest Dyczek (papier); Krystyna i Andrzej Falkiewiczowie (usługi poligraficzne); Zbigniew Andrzej Pryciaszek (z. 2: skład i montaż komputerowy niektórych materiałów, z. 3: skanowanie, odbitki próbne); Leszek Przyjemski (papier); **USŁUGI WYDAWNICZE** Ernest Dyczek, 54-206 Wrocław, ul. Legnicka 156 m. 4, tel. (071) 51 63 19 (montaż kom-

puterowy); Amelia Żymła (papier czerpany z Dusznik Zdroju). Merci, merci.

## Oto portret Szefa!

W poprzednim zeszycie Szef upublicznił konterfekt Redaktora, teraz ja się rewanżuję i ujawniam jego wizerunek, co prawda nieco uproszczony (prawa ręka trochę mi się trzęsie od zdradzieckich calvadosów), ale wierny.

Piotr Czyżyk





## Nie jestem uzurpatorką

Rozmowa z Teresą Ziomber, żoną Rafała Wojaczka

– *W maju 96 r. mija 25 lat od śmierci Rafała Wojaczka. Dziś już wiadomo, że ma on swoje niepowtarzalne miejsce w poezji polskiej: bez wierszy Wojaczka trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek poważną antologię poezji polskiej XX w. Hasło WOJACZEK można znaleźć we wszystkich prawie leksykonach i encyklopediach (także – w małych); wiele jego wierszy przełożono na obce języki, choć – o ile mi wiadomo – nie ukazał się żaden samodzielny zbiór. O jego poezji napisano sporo prac magisterskich, zapewne powstały również doktorskie dysertacje. Natomiast nie można dostać w księgarniach książek Wojaczka\*;*

*nie ma dotąd pełnego wydania jego wierszy, prozy i listów. W 1996 r. ukazało się jedynie drugie, poszerzone wydanie książki Macieja Szczawińskiego Rafał Wojaczek, który był, w której znalazło się m.in. kilka listów poety do Ciebie...*

– Nie wiem, czy to milczenie prasy i telewizji o 25 rocznicy śmierci Wojaczka świadczy o braku zainteresowania sprawami literatury, o ignorancji dziennikarzy, czy też – o pewnym spadku zainteresowania poezją Rafała. Może młode pokolenia uznały Wojaczka za klasyka, który już ich nie ekscytuje, nie drażni? A jak mogą się czytelnicy fascynować, gdy w księgarniach\* nie ma jego książek?

– *Słyszałam, że są przeszkody prawne: posiadaczką majątkowych praw autorskich jest córka poety, podobno niechętnie się zgadza na edycje tekstów ojca, a przede wszystkim sprzeciwia się publikacji jego listów. Można powiedzieć tak: prawo formalnie jest po jej stronie, ale poniekąd swoim postępowaniem działa na niekorzyść ojca...*

– Jeśli chodzi o prawa autorskie, to nie jest to sprawa tak jednoznaczna jak by się wydawało. I ja coś mam chyba do powiedzenia, ale o tym później. Przez wiele lat nie śledziłam dokładnie tego, co pisano o Rafale, byłam zajęta domem, ale od 5 lat trzymam rękę na pulsie. Z przerażeniem śledzę, co krytycy i badacze wypisują o Wojaczku, i to w jakimś dziwnym slangu, który stwarza przepaść między poezją a ewentualnym czytelnikiem. To naprawdę nikomu nie służy. Wydaje mi się, że na tym polega moja misja, a nie chcę tego mówić z przechwałą czy butą, że będę chciała – mam nadzieję, że mi starczy czasu – pokazać Wojaczka, poetę oczywiście, ale zupełnie innego niż funkcjonuje on w coraz bardziej kostniejącym micie. Poza tym jeśli nieza-

wisły sąd rozstrzygnie spór o podział praw autorskich, a myślę, że prawo jest po mojej stronie, to będę chciała opublikować dotąd nie znane wiersze Rafała oraz listy, których jest blisko 90. Kilkanaście z nich, jak wiesz, ukazało się w pismach literackich. I mam nadzieję, że to będzie w pewnym sensie szokujący wizerunek Wojaczka...

– *Oto Twoja karta atutowa. Na białej kartce (połówka A-4) czerwonym długopisem poeta napisał taki tekst:*

### Postanowienie

*Wszelkie prawa do moich książek należą do Teresy Ziomber – Bytom, Podgórną 2/6 Rafał Wojaczek 17 sierpnia 1968 r.*

*To niewątpliwie autograf Rafała. Szkoda tylko, że trzymałaś go tak długo w biurku...*

– Nie chciałam się mieszać do spraw rodzinnych. A po drugie: nie sądziłam, że nie będę mogła ogłosić listów Rafała do mnie pisanych. Kilka lat temu zmieniło się prawo autorskie i teraz córka strasznie mnie sądem, gdybym listy wydała... W krótkim Wojaczkowym życiu, bo zaledwie 26-letnim, prawie 4 lata ważne miejsce zajmowała Teresa, używam tutaj słowa „Teresa” jako hasła, bo to nie ja, ale ktoś sprzed 30 lat. Więc jeśli zważymy, że Wojaczek, jako człowiek – nie waham się tego słowa powiedzieć – genialny, osiągnął dojrzałość intelektualną w wieku lat 15, to w tych 26, które przeżył, te 4 lata to bardzo dużo, jak na to krótkie życie. Będę chciała, nie tylko w przygotowywanej książce, i sądzę, że prędzej czy później to zrobię, pokazać, że ta Teresa to nie uzurpatorka, tylko ktoś w jego życiu ważący. I myślę, że różnymi sposobami dźgający go i prowokujący do pisania. Wydaje mi się, że najlepsze rzeczy powstały w tym czasie, kiedy byliśmy razem, czyli od marca 1966 r. do listopada 1969 r., mimo że były publikowane już po naszym zerwaniu.

W moim postanowieniu o wydaniu listów i nigdy jeszcze nie publikowanych wierszy nie ma żadnej płaskiej myśli o korzyściach finansowych, lecz tylko chodzi o to, by pokazać Wojaczka takiego,



## Jestem w Europie: zażeram się kawiozem z zająca

Kawior, kawior... Podobno czarny z jesiotra, a czerwony z lososia. Kiedyś zajadali się nim forsiaści. Nie tylko w Paryżu, także u nas. Kawior z jesiotra żyjącego w Wołdze. W Morzu Kaspijskim. W Jeniseju. Kawior z lososia kanadyjskiego. A ja rozkoszowałem się (niegdys, w latach sześćdziesiątych) soloną ikrą ze śledzia bałtyckiego. Bywały lata, że można ją było – jak marmoladę – kupować na wagę. Gdy kupowałem śledzie z głowami, nie zawsze miałem szczęście: albo ikra, albo mlecz, albo nic. Albo rydz, albo nic? To była miła loteryjka: będzie, nie będzie ikry. Chleb z masłem i szarżółtymi kuleczkami! Na kolację. Nie zazdrościłem wcale tym jedzącym kanapki z kawiozem, bo i po co? O ostrygach, homarach i smażonych ślimakach też tylko – jak o kawiozrze – czytałem w reportażach z Paryża. A dziś mogę pojechać tramwajem do restauracji francuskiej i zamówić od razu kilkanaście ostryg, wyłowionych przedwczoraj w Atlantyku, w pobliżu Pornic.

Mogę pojechać, ale nie byłem wciąż w „Belle Epoque” (nie kupiłem jeszcze nowego portfela), za to od czasu do czasu posiłam się połówkami jaj na twardo w majonezie i czarnym kawiozem. Malutki słoiczek (netto 50 g) mogę kupić w pobliskim sklepie. W dzień. Albo w nocnym, gdybym miał ochotę, też niedaleko stąd. To black caviar – czytam na etykietce. Przypominają mi, choć są czarne, śledziowe kuleczki, tylko w smaku nieco delikatniejsze, nie takie słonawe, jak te kupowane na wagę (och, raz sprzedano mi aż pół kilograma!).

Nie żałuj sobie, podpowiadam, zażeraj się kawiozem, to też dla ciebie... Co mi tam: smaruję czarny chleb masłem (nie: maselkiem mazurskim), na masło nakładam widelczykiem (platerowanym) czarne kuleczki. Co mi tam: kawior tylko dla burżujów? I ja mogę posmakować dwa razy w miesiącu.

Tylko z jakiej ryby te czarne kuleczki? Z jesiotra bajkalskiego? Wyprodukowała słoiczek szwedzka firma „Abba”. Abba? Czy nie była taka grupa muzyczna? Ćwierć wieku temu. Dwie anioleczkowate blondynki i dwóch chłopaczków. Teraz handlują śledziami i halibutami? Śpiewali tak słodziutko. Zdaje się: o miłości od końca do końca. I po angielsku. Niedawno znowu słyszałem w radiu: aj law ju, aj du, aj du. Chyba powinna być w domu płyta, którą M. dostała od brata na imieniny. Tylko gdzie leży czy stoi? I tak gramofon zepsuty. Abba? Abba, dlaczego pozwalasz zabijać ryby? Nie, to nie są ryby z Genezaret. Czytam na etykietce, że to kawior z ryby atlantyckiej „Cyclopterus lumpus”. Kawior z lumpa? Po angielsku: lumpfish. Uwieczniona w encyklopedii, nie wiem, czy znana Linneuszowi. Po polsku: tasza, albo zając morski. Zając morski? *Mięso taszy jest wodniste, niesmaczne*. A ikra, zabarwiona sztucznie na czarno, smakuje jak z jesiotra? Znowu mnie nabrano, znowu podsunęto mi etykietkę zastępczą: tfu, to kawior z zająca morskiego, psiakrew.



## Masz pan rację, patriota się znalazł...

I mnie to zdziwiło: od kilku tygodni na wystawie obscurnego sklepiku zawsze w soboty i niedziele wisiały dwie białoczerwone flagi. Nie, nie papierowe, lecz płócienne. Chyba dawne szturmówki pierwszomajowe. A na dodatek na wystawie leżały poziomo dwie serwetki i dwa białoczerwone prostokąty. Witryna ma ramy metalowe, chyba sprzed pół wieku, dawno nie malowane, szyby myto kilka miesięcy temu. Ot, sklep-klitka zarządzany jednoosobowo przez mężczyznę po sześćdziesiątce. Można tu kupić odzież używaną (polską i zagraniczną) i proszki do prania. I coś tam jeszcze. Kiedyś kupiłem tam brązowe spodnie na lato (100 % cotton), bardzo tanio, z metką tajwańską.

Sklep obok skweru: i ja tam lubię przesiadywać na ławce, drzewka już kilkumetrowe, trawa przystrzyżona. Widać stąd, kto wchodzi, kto wychodzi, ot, nasi sąsiedzi, na pewno nikt nie przyjeżdża tu tramwajem. Siedzę, słucham, obliczam, ile mam złotych, czasem się zdrzemnę. Ale i tak wszystko słyszę, czasem słówko dorzucę.

– Panie, coś tam za tanio w tej szmaciarni...

– Coś pan...

– Powiem panu szczerze, za tanio to podejrzane...

– E tam, przecież nie dokłada do interesu.

– Jasne, ale coś mi się tu nie podoba. Widział pan te flagi? Jakieś takie pomięte.

Skąd on je wytrzasnął? Z jakich magazynów?

– To, panie inżynierze, rzeczywiście dziwne...

– Toż mówię, że...

– A zna pan kogoś, kto by wywieszał w soboty i niedziele białoczerwoną przed sklepem? Albo przed domem?

– U nas? Hm, chyba nie.

– No widzisz pan, ja też nie!

– W Ameryce to sobie obywatele wywieszają flagi przed domem...

– Panie Karolu, tu nie Ameryka, zapamiętaj pan sobie. Przyjrzałeś mu się pan dokładnie? Te jego uszy, barankowe włosy...

– Jasne jak łany pszenicy...

– Na pewno farbowane...

– A zauważył pan jaki on uprzejmy? Słucham pana. Może jeszcze coś pan szanowny sobie życzy? Jeszcze nie wszedłeś, a on już ci mówi dzień dobry. Coś mi się wydaje, że to...

– Słyszałem, że to Ormianin...

– Coś pan, Ormianie to byli u nas we Lwowie, przed wojną, nie wygląda mi też na Greka...

– Więc pan sądzi, że to...



- 
- Zauważ pan, że w sobotę nie handluje...
  - Inni też nie.
  - Ale papierniczy otwarty, kiosk z gazetami otwarty, warzywniak otwarty...
  - Ma prawo nie otwierać...
  - Prawo ma, ale ja to bym nawet w niedzielę handlował. Ile to ludzi idzie do kościoła, zawsze się coś zarobi.
  - To czemu nie bierze się pan za interesy?
  - A bo ja to mam zdrowie?
  - A tu przyjdzie jakiś mendowaty i jeszcze nas prowokuje, flagi sobie wiesz, nasermater...
  - Masz pan rację, patriota się znalazł...
- 
- (96)
- 

## Leżę sobie wygodnie w łóżku, a biedronka się topi

Łóżko jest drewniane, zamiast sprężyn ma nieheblowane deski, na deskach gruby materac przeciwdoleżynowy, na materacu szare prześcieradło lniane i poduszka z gęsiego pierza (powłoczka bawełniana, zielonkawa), na prześcieradle i poduszce leżę ja, w niebieskawej piżamie bawełnianej, a na mnie leży ponad dwukilogramowa pierzyna (poszwa bawełniana, biała). Obok na półkach kilkaset książek (to prawda, tylko po niektóre mogę w każdej chwili sięgnąć ręką). Gdy podniosę głowę i podeprę się łokciami, widzę ostatnie piętra nowego domu naprzeciwko i ileś tam (nie więcej chyba niż sto) metrów kwadratowych nieba. Za oknem mroźno, a w moim pokoju kaloryfery gorące. Radio gra i gada. Właśnie kilka dni temu dowiedziałem się, że premier jest szpiegiem obcego mocarstwa. Ten dobroduszny lysoń młodszy ode mnie o kilka lat? Co mi tam, nie lubię filmów szpiegowskich. Kto mnie szpieguje? Kaczka stojąca przy łóżku? Płaski nocnik? Telefon na podsłuchu? Nie, leżę sobie wygodnie, na krześle mam zeszyt, ołówki i długopisy, mogę pisać listy nawet do Pana Boga. Ani jeden strażnik mnie nie pilnuje: nie ucieknę nawet do łazienki. Nawet gdybym chciał. Miesiąć temu nie mogłem pojechać na pogrzeb mamy. A tu co pływa w słoiku po ogórkach, do którego wlewam z kaczki mocz? Biedronka! W lecie drzwi na balkon codziennie otwarte: we wrześniu, w październiku biedronki wpadają do mieszkania, a potem w zimie budzą się przedwcześnie i któregoś dnia widzę je na framugach, na książkach, na podłodze. Czy w innych mieszkaniach też zimują? A jak ta biedronka dostała się do środka, przecież zakręcam słoik twistem? Po co te dociekania obłudne: biedronka się topi. Nie, jeszcze pływa. Tylko jak długo? Czyż nie powinienem jej wyjąć? Bo może jeszcze nie całkiem się zatruli? I tak nie przeżyje do wiosny, większość biedronek i tak się nie budzi, niektóre zjadane są przez pająki, których M. nie



pozwała mi zabijać, tylko nieliczne odlatują w marcu, kwietniu. Nie ja ją uwięziłem, nie ona podstawiła mi nogę, że muszę tu leżeć wygodnie jak basza, tylko bez haremu rudowłosych sikorek – jeszcze pływa, czyli wciąż ma nadzieję, że się uratuje, a ja nie robię nic, nie wkładam dłoni do słoika. Leżę sobie na plecach i wiem na pewno, że nie jestem mordercą. Mogę być najwyżej oskarżony o zaniechanie, o nic więcej. (96)

## Niebieskawy neon

Stojąc na balkonie widzę ponad dziesięciopiętrowym blokiem ostatnie kondygnacje najwyższego, dwudziestoczwartopiętrowego, budynku w mieście: tam na dachu kilkanaście potężnych anten (i kilka talerzy), chyba także nadajników, bo stamtąd nadaje i stacja telewizyjna, i radiowa, których nie oglądam/nie słucham (nie muszę się tłumaczyć dlaczego). I widzę też neon; wieczorem świeci niebieskawo (w nocy chyba też, ale nigdy nie sprawdzałem), a w dzień odczytuję, bez lornetki, duże litery: POLTEGOR. Pamiętam, w tym budynku mieściło się kilkanaście lat temu zjednoczenie węgla brunatnego, teraz chyba żyją jeszcze ludzie pamiętający, co te literki znaczą, raczej: jak dawniej można je było rozszyfrować. Do najbliższej kopalni węgla brunatnego trzeba by jechać spod tego gmachu ponad sto kilometrów. Podobno z dwudziestego czwartego piętra rozległy widok (i mnie, stojącego na balkonie, można zobaczyć): nie pojechałem dotąd na najwyższe piętro. A jak nagle wybuchnie pożar? Drabiny – jak powiedział w telewizji, która ma studia na dwudziestym drugim piętrze, szef miejskich strażaków – sięgają tylko do osiemnastego piętra. Wyżej trzeba używać drabiny Jakubowej? Wolałbym jednak umrzeć we własnym łóżku, nad ranem, podczas snu, w którym przechadzam się po placu Niebiańskiego Pokoju w Pekinie, albo gdy wkładam (wciąż w śnie nadrannym) w szczelinę Ściany Placzu w Jerozolimie karteczkę z prośbą, by Jahwe zechciał i na goja spojrzeć łaskawym okiem, a nie w ogniu syczącym.

Niekiedy gdy zdejmuję okulary, niewyraźnie widzę neonowe litery: mógłbym się założyć (o dziesięć dolarów), że teraz można je odczytać tak: BELFAGOR. Aż tak jawnie się reklamuje? Ot, przewidziało mi się. Na pewno, na pewno. (96)

## Co się stało z Emilem?

To przydarzyło mi się w Wielką Sobotę przed południem. Jak codziennie wyszedłem na godzinny, zalecany mi przez lekarzy spacer („ja już panu nie mogę pomóc, niech się pan rusza, rusza i jeszcze raz rusza”): mijaly mnie, ubrane już



świętecznie, dziewczynki niosące w koszyczkach jajka, kielbasę, szynkę (i jeszcze coś zapewne, chyba także sól). I chłopcyki. I dorośli. Z dziećmi, bez dzieci. Idący do kościoła, wracający do domu. Jaka różnorodność koszyczków wiklinowych! Gdybym był etnografem, mógłbym zebrać ciekawy materiał do krótkiej rozprawki, oczywiście. Jakie czyściutkie serwetki! Białe, kolorowe. I pisanki, i kroszonki! A tu z naprzeciwka idzie trójka chłopczyków, najwyżej dziesięcio- dwunastoletnich i pokrzykuje sobie naprawdę radośnie, tuż przede mną:

*Emil chuj,*

*Boży gnój!*

Oni bez koszyczków, w pobrudzonych nieco ubrankach. Wracają z boiska? Chyba. Boisko szkolne niedaleko. Co to za Emil? Koleżka z klasy czy podwórka? Dlaczego nie zapytałem? Po raz drugi, po raz trzeci – już za mną. Gdzie się podział Emil? Rozrzuca gnój w rajskim ogródku? Może tylko w działkowym? Albo w piwnym siedzi z ojcem przy coca coli?

(96)

## Z patykiem na byka?

Już po kilkunastu minutach, gdy z korytarza (gdzie przechowano mnie cztery długie dni) przewieziono mnie na salę i mogłem wreszcie wyciągnąć się wygodnie na grubym, sztywnym materacu, leżący dwa łóżka dalej, bliżej okna, zaproponował mi przejście na ty (jestem od ciebie starszy, dodał, a szybko się okazało, że on młodszy ode mnie), wiedziałem, że to Józek. Gdy zaczął opowiadać o swoim wypadku (teraz, miesiąc po operacji, mógł już podpierając się łokciami podnieść głowę), mężczyzna w skórzanym gorsecie szyjnym, który mógłby być naszym synem, krzyknął na Józka, by nie pierdolił znowu o byku, że nie może już tego słuchać, każdemu musi opowiadać, kogo dziś obchodzi zajebany byk, a ciul z nim. Na sali dziesięć łóżek, tylko ja jeszcze nic o byczku nie wiedziałem.

– Mów, to ciekawe – zachęcałem, ale Józek przez kilka godzin o byku nie wspominał.

Zagadał o byku przed kolacją, znowu nie dokończył, potem w następne dni to samo, tylko bardziej szczegółowo, opowiadał studentkom-rehabilitantkom, które ćwiczyły jego bezwładne nogi, także nowej salowej i jeszcze kilku osobom, które przypadkowo weszły do naszej sali.

Jak to właściwie było z bykiem? Na pastwisku, pod koniec września, prawie dwa kilometry od domu, pasło się kilka krów i prawie trzyletni byczek, który za kilka dni miał zostać sprzedany na befsztyki. Pod wieczór byk za bardzo oddalił się od krów, chyba chciał wrócić do obory, Józek go zauważył i chciał zapędzić z powrotem na łąkę, machał rękami, ale byczek wcale się nie zatrzymał, więc uderzył go kijem po



głowie, właściwie to patykiem, tak leciutko, naprawdę leciutko, a byczek zamiast zawrócić zaatakował Józka głową, po prostu go nadział na rogi, jak to czasem można obejrzeć w telewizji, gdy na arenie byk bodzie rogami toreadora, który nie zdążył odskoczyć, a potem stratowanego Józka, jego przecież byk, kłuł rogami, kilka razy podrzucił do góry (na filmach z corridy, gdy byk podrzuci matadora do góry, widzowie wiwatują z uciechy), znowu podeptał przednimi nogami... Józek krzyczał, nikt nie słyszał, byk stał i patrzył, czy Józek się rusza, stał tak kilka minut, a Józek, cały pokrwawiony, nie mogąc stanąć na nogi, podczołgał się kilkanaście metrów do rowu przy drodze, którą i tak nikt nie przejeżdżał tego wieczoru, byczek wciąż stał, potem podszedł kilka metrów do Józka, ale już się nie rzucił na niego, stał i stał, zapewne czekał, czy Józek się podniesie, wreszcie mu się znudziło i pobiegł, ba: popędził na pastwisko, porykując – jak Józkowi się zdawało – radośnie. Józek leżąc na plecach jęczał, krzyczał, nie mógł się podnieść, potem gdy się ściemniło, zaczął padać deszcz, ale nie wie jak długo, bo zaraz stracił przytomność. Obudził się, gdy świtało: wszystko go bolalo, nie mógł ruszyć nogami, ani obrócić się na bok. Znowu krzyczał, nikt nie słyszał: do domu daleko, z jednej strony las, zbójników tam nie ma, o partyzantach też nikt nie słyszał, droga pusta. Rano przechodzili obok drwale, znowu krzyczał, ale udawali, że nie słyszą jego jęków, może myśleli, że to pijany się wydziera, dopiero znacznie później usłyszał go gajowy, zresztą znajomy Józka, przybiegł natychmiast, zadzwonił po pogotowie. Zawieziono go do szpitala, do Milicza. A tam: to złamanie kręgosłupa, sam ordynator – powtarzał kilka razy Józek – się nim zajmował przez kilka dni, ale uznał, że trzeba chorego zawieść do Wrocławia na operację.

– Z patykiem rzuciłeś się na byka?

– Widzisz, tak to było, jeszcze będę chodził, już lewą stopą trochę ruszam...

– Całą noc tak leżałeś i nikt cię nie szukał? Ani żona, ani dzieci?

Już słyszałem od niego o dzieciach: dobrze się uczą, grzeczne.

– Pan nie wie, że on ma dziesięcioro? A w drodze jedenaste.

– Może żona już urodziła, kilka dni temu miała pojechać do szpitala – wtrącił Józek. – Co też się urodzi? Może chłopak? Bo mam siedem córek, a tylko trzech chłopaków.

– Trzech byczków – ktoś się odezwał.

– Wszystkie twoje? – zapytał niby niewinnie ten w gorsecie.

– A czyje by?

– A może sąsiadów?

– Na sąsiadów nie narzekam, nie mam konia, to mi czasem pożyczą, ja tam za traktorem nie przepadam...

– Nikt cię naprawdę nie szukał? – znowu zapytałem.



– No widzisz, tak to w życiu jest. Dużo by tu gadać...

I nic więcej nie chciał dopowiedzieć. Potem sąsiad łózkowy szepnął mi, że od dwóch tygodni nikt Józia w szpitalu nie odwiedza, a ma tu we Wrocławiu wujka, raz tylko na kilka minut wpadła córka licealistka. I ja ją zobaczyłem, w dniu w którym wypisano mnie do domu: po obiedzie czekałem na ambulans, ot zwyczajna, trochę jakby oniesmielona dziewczyna w niebieskiej kurteczce dzinsowej. Chyba powiedziała ojcu, że mama dwa dni temu urodziła dzidziusia, a Józek powtórzył głośno na całą salę, że to nie syn, niestety.

– No tak, Józek, z ciebie kiepski toreador.

Gdy na obiad podano któregoś dnia gotowaną wołowinę, twardawą, ktoś zażartował, że to na pewno z byka Józka, a on się odciął, że się nie znają na mięsie, z jego bysia mięso na pewno było mięciutkie: całą wiosnę i lato byczek żarł trawę, na pewno mięso z jego byczka było smakowite, tylko jak sprawdzić, że to z jego sztuki, on też by nie poznał.

Ile ważył byczek? Siedemset kilogramów. A rozjuszony? Zapewne ponad tonę. W nocy śniło mi się kiedyś, że czarno-biały byczek biegnie na mnie, a ja mam w prawej ręce tylko japoński wachlarz. Zasłaniam oczy, byczek podrzuca mnie rogami do góry jak piłeczkę pingpongową: raz, dwa, trzy, bęc, a teraz kopytami...

Nie wiem, gdzie się dziś podziewa Józek. Już wówczas, gdy go poznałem, miał skierowanie do ośrodka rehabilitacyjnego, ale tam chciano dopłaty, a on nie miał ani grosza. Czy już się wyprostował? A może chodzi choć o kulach? Gdy w grudniu przywieziono mnie na kontrolne prześwietlenie, dowiedziałem się, że Józka na sali już nie ma. Gdy teraz wspominam niesforemego byka, jest środek lata, za kilka tygodni rocznica tej – było nie było – nieudanej corridy. Józek zachęcał mnie, bym go kiedyś, gdy stanę na nogi, odwiedził, podał mi adres, oczywiście.

– Dobrze, jak wydobrzeję, to na pewno – zapewniałem.

Już prawie stoję, mógłbym się wybrać autem. Co prawda nie zapisałem w kalendarzyku jego adresu, ale wiem, że mieszka tam, gdzie urodził się również kolarz Ryszard Szurkowski (to mój kuzyn, dodawał Józek, nasze matki są siostrami), mogę zajrzeć do książki **Kto jest kim w Polsce**: mógłbym się umówić ze znajomym, by zawiózł mnie nad dopływ Baryczy, tam tak spokojnie, lasy i lasy, zachwalał Józek, kilkanaście kilometrów dalej pocysterskie stawy rybne, na łąkach pasą się zapewne krowki i łagodne byczki.

A co się stało z bykiem? Kilka dni później, gdy Józek został przewieziony do wrocławskiego szpitala, spasiony byk został sprzedany, a pieniądze nie wystarczyły nawet na kupno pionizatora, który Józio musiał zafundować szpitalowi, oczywiście całkowicie dobrowolnie.

– Kto go kupił?



– Prywatny rzeźnik z sąsiedniej gminy. Robi świetne kielbasy wołowe, z dodatkiem wieprzowiny i dziczyzny. Takie grube, śniadaniowe.

A kto potem zjadł befsztyki, rolady, szaszłyki? Ja nie wiem. (96)

## Mówią mi

Też byłem dzieckiem? Biegałem nagusieńki, z wiaderkiem i łyżką, po plaży nad rzeczką? Bałem się św. Mikołaja? Nie byłem ministrantem? Byłem bierzmowany? Pasłem gęsi pod laskiem? Bardzo lubilem moskaliki? Co to są moskaliki? W szkole uczyłem się czytać i pisać? A po co? I śpiewać: „Szła dziewczeczka do laseczka” i „Naprzód, młodzieży świata”? W pochodzie pierwszomajowym w 1956 roku, w zielonkawej bluzie z emblematem ZMP na lewej piersi, niosłem z kolegą duży portret Bolesława Bieruta? To podobno był zbrodniarz i agent? Możliwe, możliwe.

Mówią mi: tak, to ty, popatrz na to zdjęcie, Marcuszu, to ty z bratem, gapicie się na ptaszka, który miał wyskoczyć z malej skrzynki przykrytej czarną ścierką, to ty, Pawle, jeździleś na rowerze wodnym po jeziorze, niestety, nie ma tu nazwy, to ty, Karolku, lizaleś lody (ale jakie?) w Malborku na dziedzińcu zamku krzyżackiego.

Mówią mi: też byłeś bobaskiem, choć nikt nie sfotografował cię leżącego na białym kożusku, też, Jureczku, grałeś w piłkę na podwórku i kiedyś wybiłeś szybę sąsiadowi, który cię zaraz złapał i obił dupę pasem, a w domu ojciec trzasnął cię w pysk, z prawa i z lewa, bo musiał za wybitą szybę zapłacić, za taką wielką, metr na metr, tak, Franku, opalaleś się w 1969 roku nad Morzem Bałtyckim, to ty, Piotrze, widziałeś z samolotu cały Leman, wodę wielką i czystą, i Mont Blanc, w słoneczny dzień wrzesniowy, tak, kutasie, znalazłeś na ulicy Przędowników Pracy dwadzieścia dolarów i nie zaniósłeś banknotu na milicję, po prostu go sobie przywłaszczyłeś, kupiłeś sobie kilka butelek koniaku i jakieś duperelki, tak, Jasiu, to ty nie powiedziałaś dzień dobry swojej dawnej nauczycielce z liceum, podobno jej nie zauważyłeś, ale to cię nie usprawiedliwia, ona się od razu rozchorowała, nie, nie umarła na atak serca, żyła jeszcze kilkanaście lat, nie rozgrzesza cię brak okularów (jak można zapomnieć szkieł, może wcale nie musiałeś ich nosić), nie chciałeś się przyznać do błędu i jak ci teraz mam wierzyć.

Mówią mi: podpisz tu, tylko wyraźnie, to dla twojego dobra.

Mówią mi: nie rozmawiaj z nią, ona chce cię oszukać, cały rozum ma ukryty w koku, a koki już niemodne.

Mówią mi: to twoja wnuczka, wyjeżdża do Paryża, mógłbyś jej dać kilka papierków, tylko nie po cukierkach, kilka papierków z wizerunkami królów i poetów.

Mówią mi: jeszcze żyjesz, nie zamartwiaj się byle czym, można żyć



bez pamięci, masz komputer, on to ma pamięć megabajtową, drogi Leonie.

Po co mi komputer? Co to za zwierzę, czy szczeka jak pies? Czy to moja muter? Co je?

Mówią mi: tu masz myszkę i nie marudź, stary pierdoło.

Mówią mi: to twoja żona, Zosiénka.

Co ta cholera tu robi, w moim mieszkaniu? Ja się nie żeniłem ze staruszką, na pewno nie.

(96)

---

---

## Zagrajmy w kości

– Zagrajmy w kości – mówi do mnie niespodziewanie w parku Zdrojowym, obok fontanny z nagą kamienną kobietą (leżącą na prawym boku, a na lewym biodrze trzymającą dzbanek), ruda dziewczyna w białej, prześwitującej minisukience, z przodu zmoczonej jakby dopiero co wyszła spod prysznica, pod którą – nim jeszcze siada obok na ławce, nie czekając na moje tak lub nie – widzę wspaniałe sterczące jabłuszka, a niżej ciemny trójkącik. Jestem tu już kilkanaście dni i dotąd jej w parku nie spotkałem: no tak, tu każdy może przyjść/przyjechać i posiedzieć. Jakże ona podobna do tej kamiennej, tylko szczuplejsza, młodsza! Patrzy mi w oczy jakby chciała mnie zahipnotyzować, a ja przenoszę wzrok na odległy, wyraźnie dziś widoczny, Mały Szyszak.

– Nie mam kostek, zostawiłem w domu – mówię głupio.

– Nie kłam, bo cię kopnę w lewą kostkę. To zagrajmy w zęby – mówi. – Najpierw ja ci przyłożę, potem ty mnie, chcesz?

– Mam słabą rękę – bronię się niepewnie. – Zjadłbym czerwone jabłko i pierogi ruskie...

– Jaka jest suma kątów trójkąta równoramiennego?

– Co ty, maturę zdawałem prawie czterdzieści lat temu.

Wyciąga prawą rękę, na serdecznym palcu srebrny pierścionek z zielonym kamyczkiem: zaraz położy ją na moim czole.

– Nie dotykaj mnie! Masz ostre paznokcie...

– To ty naprawdę mnie nie poznajesz, głupi ciulu? Zamknij oczy, to zobaczysz, kim jestem, no już.

(96)



## Tysiąc pierdołek o sadzeniu grochu (2)

12. Kim są ci, co każdego lata – mimo zakazów, nawoływań, próśb gazetowych i telewizyjnych, ostrzeżeń agronomów i naukowców – wypalają ścierniska? Z jakiej krajiny tu przyjechali? Z jakiego stulecia? Przodkowie ich jakie puszcze wytrzebili? Pod koniec sierpnia jadę pociągiem do Gliwic, a tu przed Opolem czarne pasy po spalonym rżysku, po spalonej słomie, którą zostawił kombajn, a którą można by przecież podrzucić pod świnię, pod krowy, a potem krowińce zmieszane ze słomą wywieźć na zagony, na których można by wiosną zasadzić kartofle, może także groch, albo zasiać jęczmień jary (na piwo? na whisky?). Niektóre ścierniska palą się równo, metr po metrce, powoli ogień zbliża się do torów, pociąg zwalnia, chyba niepotrzebnie, w wagonie czuję dym, nawet miły, choć nie wiem, czy to żytni czy pszenney, mógłbym sobie ręce ogrzać, ale i tak upalnie, od tygodnia nie padało. Więc najtaniej podpalić? Tak chłop kombinuje? No tak, nie chce mu się zorać – to kosztuje, ropa do ciągnika droga, ogień zjada robaki, pasikoniki, myszy i chomiki, popiół jest czarny, jak przyjemnie pachnie (wąchałem taki ponad czterdzieści lat temu). Gdzie jest podpalacz? Ot, schował się w ogrodzie, albo ogląda dziennik telewizyjny, gdzie akurat migawka o pożarze lasów nad Amazonką, jest zbyt skromny, by wysłuchiwać naszych pochwał i wyzwisk, oklasków i gwizdów, a poza tym on nie lubi dymu, gryzie go w oczy, wywołuje katar i pieczenie w gardle. Nie, nie wszyscy klaszczą, bo tu i taki, który wyciąga bambusową laskę w kierunku pełzającego po ściernisku ognistego węża, a lewą rękę zgina w łokciu i krzyczy:

– Mordercy pasikoników, też bym wam podpalił ogon! Jeszcze się doczekacie!

13. Przecinek: ot, malutki znaczek oddzielający zdania, części zdań, wyrazy. Albo w ułamkach dziesiątych – całości od części dziesiątych. A w lesie myśliwi mogą się nim przedzierać na trzy strony świata. Pięć koma osiem? Koma: przecież to greckie słowo. Tylko z którego wieku? Z czasów Homera? Platona? A może św. Jana Apokalipsy? Nie znali w piśmie przecinka ani Hebrajczycy, ani Grecy, ani Rzymianie. Kropka, choć też lekceważona, była najważniejsza. Niektórzy średniowieczni skrybowie czasem wstawiali kreseczkę między dłuższymi zdaniami. No tak, to drukarze go polubili, chyba już w szesnastym wieku. Niestety, Jan z Czarnolasu w swojej „Ortografii polskiej” nie wspomina o nim ani razu. A o kropce? Też nie. W czasach króla Stasia nie mógł już opuścić ksiąg elementarnych, na pewno nie. On, pan przecinek, który tylko przecina zdania. I tak kropka – powtarzam – najważniejsza. Potem idzie przecinek. Bez średnika, wykrzyknika, dwukropka (i innych znaków przystankowych) można by się właściwie obejść, ale nie bez kropki i przecinka. Nie jestem. Nie, jestem! Gdyby starożytni Grecy go polubili, Pytia zostałaby na wieki głupią babą, głoszącą się po pępku i wygrzewającą się przy ognisku. Przecinak (czyli majzel, po niemiecku Meissel) przecina drut i mamy dwa kawalki. Przecinek taki malutki, ledwo widoczny, może nawet zbyteczny (tak mniemają poeci, choć nie wszyscy): ot, kreseczka pionowa lub ćwierć-



kolista plamka. Pi: ile miejsc po przecinku? Osiemdziesiąt pięć? Trzysta dziewięćdziesiąt siedem? Wciąż się kłóć matematycy, a komputery liczą, liczą. Nie stał się skrzydlatym słowem, nie zamieszkał w przysłowiaach. Tylko przecina, tylko. Chyba zbyt młody wciąż, nazbyt skromny, przede wszystkim pojawia się na papierze. I od niedawna na ekranach komputerowych. Jak go nie lubić: nie upiera się, że jest najważniejszy, kropce zawsze ustępuje siedzące miejsce w tramwaju i autobusie. Wie, że bez kropki byłby nikim, ot, pospolitym zerem bez potęgi, bez kropki byłby niepotrzebny. Jak kiedyś – przez tysiąclecia.

17. Zauważyłem go przypadkowo: obok starsza kobieta rozmawiała ze swoją rówieśnicą, a kilkuletnia dziewczynka pociągała delikatnie jedną z nich za rękę i słodziutko mówiła: babciu, chodź już, tam są lody... Po co mi lody, gdy obok babci na asfaltowej jezdni, tuż obok domu, leży zwinięty na pół banknot: poznaję smutną twarz mężczyzny w okularkach drucikowych (w binoklach?). Czy warto się schylić po sto złotych? Starzych. Dwadzieścia lat temu można było za ten paperek kupić pół litra wódki. I wówczas to słyszałem, po kolejnej podwyżce żytniej, naiwne pytania: dlaczego ten proletariusz z brodą, w białej koszuli i krawacie, taki smutny? Bo dwie kwatery kosztują już sto złotych. Przystanąłem: może jednak warto się schylić? Poczekam, może paperek zgubiła dziewczynka lubiąca lody śmietankowe, ale ona chyba go nie widziała, patrzyła w inną stronę, pociągała po raz kolejny babcię za prawą rękę, która jej odpowiadała cichutko: już, już, dziecinko. Może i ona wie, że gdyby świstek podniosła, to i tak loda nie kupi? To tylko jeden nowy grosz. Malutki grosik, z liściem dębu amerykańskiego, grosik, który trudno utrzymać w palcach i już zapewne niedługo można go będzie podziwiać jedynie w bankach. Ja natomiast mogę się schylić, przecież wiem, że grosz do grosza, a będzie... Kakuśko? Już nasi przodkowie dobrze wiedzieli, że bez grosza nie będzie dukata. Mam już kilka grosików w nowym, z czarnej skóry, mieszk. Ot, przystanąłem kilka metrów dalej: przechodzą dzieci, przechodzą dorośli, na leżący paperek nikt nie zwraca uwagi, nawet nie warto się schylić. A mnie wypada? Grosz to grosz. Co z tego, że papierowy. Pochylę się, a dziewczynka krzyknie, że to ona zgubiła? No, idźcież wreszcie na lody! Na kloszarda nie wyglądam (jeszcze nie!), po prostu podniosę paperek i schowam do kieszeni. Ile minut mogę tak tu stać?

W domu też mam taki paperek, w klaserze z banknotami. Na rewersie na tle czerwonego sztandaru hasło z 1883 roku: *Swobody! Fabryki! i Ziemi!* A co też wypisywano o brodatym eleganciku? To jeszcze pamiętam: lubił mazury kajdaniarskie. Warto sobie przypomnieć, po to są encyklopedie. No, no, używał również pseudonimu „Hrabia”. Rewolucjonista. Studiował w Petersburgu. Aresztowany, skazany na karę 16 lat katorgi. Zmarł na gruźlicę płuc. Jeszcze do niedawna jego nazwiskiem znakowano żurawie (jeden wciąż pracuje na budowie obok).

Przyszedłem na to samo miejsce pod wieczór: banknotu już nie było. Ani na asfalcie, ani na trawniku. Poczulem się nieco rozczarowany: no tak, ja się wstydzilem, a ktoś



inny nie, po prostu schylił się po czerwony papierek. Może tylko po to, by zapalić nim cygaro. Kubańskie. Jak gruby bankier w gazetowych karykaturach czterdzięci parę lat temu: zielonkawą dolarówką. Nie, tamte rysunki były wyłącznie czarno-białe.

21. To korek od butelki po winie. Prawdopodobnie portugalski. Leży w szufladzie biurka już kilkanaście lat: czasem biorę go do ręki, ściskam dwoma palcami, nadal nieco gąbczasty, ale już nie pachnie alkoholem. Mógłby jeszcze służyć, gdybym na przykład chciał porządnie zakorkować wino porzeczkowe, które dostałem od brata (kwaśne, powinno postać sporo lat). Owszem, mógłby służyć, ale nie będzie, bo jest pamiątką, prawie eksponatem; gdybym chciał go pokazać na wystawie w gablocie pod szkłem, na pewno byłby bardziej autentyczny niż fotel Szekspira w Świątyni Sybilli w Puławach.

Tak, nieco pęknięty. Nie widzę natomiast dziurki. Czyżby został wyjęty bez udziału korkociągu? Ot, po prostu wybity dłonią? Jak otwierało się dawniej półlitrowki. I tak nie pamiętam tego momentu, gdy otwierano butelkę, zresztą chyba dwie butelki wina stały na stole. Ani smaku wina. Jakie to było? Markowe, wytrawne francuskie. Château Héroult? Nie pamiętam. Wypiłem chyba tylko małą lampkę. Nie, nie na zdrowie. Na śmierć. Wówczas w balkonowym pokoju nowego bloku – w którym wypiliśmy wino, a w którym on, którego imię przypijaliśmy, on, prawie mój przyjaciel (prawie, bo jednak co nieco milimetrów brakowało), mieszkał tu tylko kilka lat, potem podróżował, niekiedy wracał, wreszcie szukał kąta a to w leśniczówce, a to u przygodnych znajomych, a to u samotnych pijaczek – siedziałem obok byłej żony, obok niedoszłej żony, obok syna, którego widziałem, gdy miał kilka lat, a za rok będzie zdawał maturę, obok córki, którą zobaczyłem po raz pierwszy, obok kilku jego znajomych i sąsiadów, którzy zachęcali jak on: no to chlup w ten głupi dziób. Wyszedłem przed północą: bolała mnie głowa, a znajomy, u którego miałem nocować, mówi, chodźmy, uciekajmy, bo zaraz poleje się krew.

Jednego z biesiadników, który uważał się za najbliższego przyjaciela zmarłego, spotkałem nazajutrz na dworcu autobusowym. Już wiedziałem, że noc spędził na dechach (nie wiem, czy w komisariacie, czy w izbie wytrzeźwień). Gdy wyszedłem, napił się wódki, potem nagadał wszystkim, a przede wszystkim ślubnej, że oni nie chcieli go ratować, wiedzieli, że pijany, a pozwolili mu się kąpać w Wiśle; wstąpił potem po drodze do jakiejś restauracji, gdzie bawili się weselnicy i obcych nie wpuszczano, ale on się upierał, że musi się jeszcze napić, właśnie pochował przyjaciela, więc zadzwoniono po milicję. Nawet dobrze mi się spało, nic mi się nie śniło, kolegium się nie boję, zapłacę i po ptokach - powiedział, gdy spytałem go jak się czuje.

I wtedy wyjął z kieszeni marynarki dwa korki. Wybieraj, jeden dla ciebie, drugi dla mnie – dorzucił. To będzie pamiątka ze stypy po naszym wspólnym przyjacielu. Ten korek nas przeżyje, możesz mi wierzyć. Pilnuj go dobrze, wpadnę kiedyś do ciebie i sprawdzę, czy go masz.



## Trzema krzyżkami

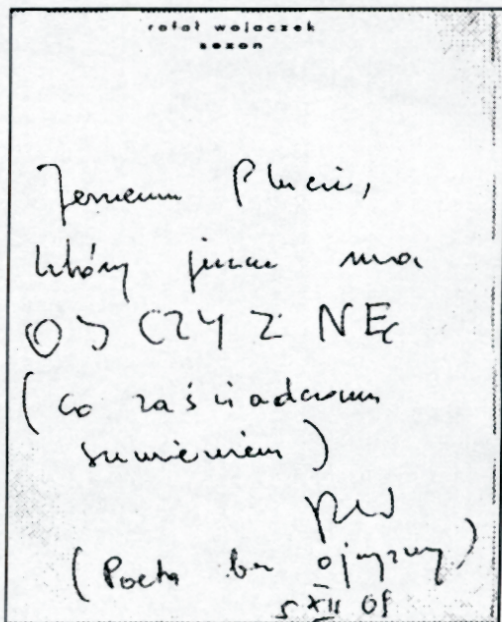
Tak zatytułował swoją sztukę Helmut Kajzar, powstałą w 1972 r., drukowaną w *Dialogu* w 1973 r., a wystawioną w własnej reżyserii we wrocławskim Teatrze Współczesnym w 1977 r. Tytuł na afiszach (i w programie) był podwójny: najpierw +++, potem w nawiasie dwa wyrazy. W pierwszej części pojawia się poeta kontestator, Bezimienny, który od razu przywoływał postać Rafała Wojaczka (do dziś pamiętamy znakomitą rolę Bogusława Kierca). Dodam, że Kajzar zadedykował utwór *Wojciechowi Zaszańskiemu, Rafałowi Wojaczkowi i żywym przyjaciółom*.

Tak właśnie (+++) w ostatnich miesiącach życia podpisywał się Wojaczek. Na sąsiednich stronach reprodukcje dwóch kartek Wojaczka z 18 lutego 1971 r., które dostałem po otrzymaniu przez niego z 5 *Kontrastów Odrzańskich*, pisma literackiego młodych, którego byłem współredaktorem, wydawanego przez wrocławski Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZW ZMW. Właśnie w tym numerze ukazała się obszerna, niemal entuzjastyczna, recenzja Bogusława Kierca z *Innej bajki*. Natomiast w opóźnionym z 4 *Kontrastów* (sygn.: listopad 1969), który był kolportowany (oczywiście nie przez „Ruch”) dopiero w marcu 1971 r., ukazał się wiersz „To nie bajka”, a także minirecenzja z *Sezonu* (poeta potem ironicznie komentował ostatnie zdanie: *Myszę, że RW sprawi w przyszłości jeszcze niejedną niespodziankę* – i miał rację, zwłaszcza że zdanie to ukazało się zaledwie 2 miesiące przed jego śmiercią, choć napisane zostało w 1969 r.).

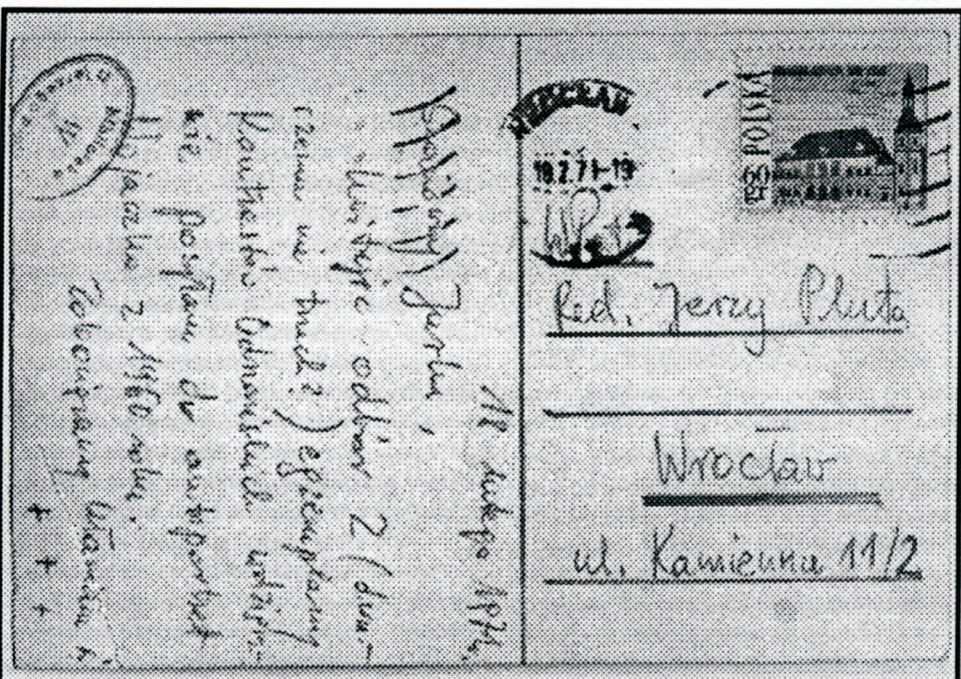
Oto niby banalne podziękowanie za przesyłkę, gdyby nie owe krzyżyki i zdjęcia na rewersie. Na pierwszej kartce (odbitka fot. formatu 9 x 14 cm) twarz w krzywym zwierciadle, czyli *autoportret Wojaczka z 1960 roku*; na drugiej (odbitka fot. formatu 6 x 9 cm) – pies, czyli *portret Wojaczka z czasów reinkarnacji*. Zdaje się, że to drugie zdjęcie osobiście wykonał poeta w czasach licealnych, gdy zawzięcie fotografował (zob. jego zdjęcia w książce Szczawińskiego *Rafał Wojaczek, który był*).

Nie wiem, ile listów podpisał krzyżykami, nie chciałbym też – jak to robili niektórzy krytycy – wyciągać nazbyt „filozoficznych” wniosków z tego zwyczaju pseudoanonimowości. Wojaczkowi być może po prostu spodobała się praktyka naszych niepiśmiennych przodków, którzy na dokumentach stawiali jedynie trzy krzyżyki, choć przecież mieli swoje imiona i nazwiska. Nieprzypadkowo chyba w *Nie skończonej krucjacie* cykl wierszy z *nieznanej poetki*.

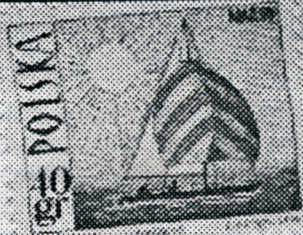
Dedykację na *Sezonie* Rafał wpisał mi po wieczorze autorskim w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu. Słowa pod inicjałami (*Poeta bez ojczyzny*) pochodzą z „Poematu mojej melancholii”, ukończonego 3 grudnia 1969 r., a więc 2 dni przed spotkaniem. Nb. „Poemat” miał się ukazać w *Kontrastach Odrzańskich*; w z. 6 (sygn.: grudzień 1971) jednak utworu nie ma: zatrzymała go cenzura. Pozostał natomiast ślad w druku: w spisie treści pojawia się nazwisko i tytuł niewydrukowanego utworu, a w mojej teczce pozostał maszynopis autorski (z ręcznymi poprawkami poety). Nieco później bez przeszkód „Poemat mojej melancholii” ukazał się w WL-owskiej *Nie skończonej krucjacie* (1972).











WPa

Red. Jęży Płutor

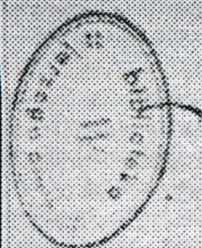
Wrocław

ul. Kamienna 19/2

181171

Otrzymał i będzie przysłać  
do portu w Józefowie  
i cała rodzinie

+  
+  
+





## Nie jestem uzurpatorką

*dokończenie ze s. 54*

jakiego się jeszcze nie zna. Nie chcę powiedzieć, że Wojaczka z ludzką twarzą, ale z twarzą liryczną, z twarzą dobrą. Wiem, że spadkobierczynią jest córka Dagmara, która uprawia dziwną politykę wydawniczą, wychodzi na to, że ją chyba interesują przede wszystkim tłumaczenia, bo za tłumaczenia są dewizy, a tutaj w Polsce honoraria są niewielkie. Ona jest spadkobierczynią, ale sądzę, że na podstawie tego dokumentu, który teraz trzymasz w ręce, ja nią zostanę, nie wiem, czy w całości, czy w części, to już musi rozstrzygnąć sąd. Bo teraz to nawet nie mogę, bez zgody córki Rafała, wydać jego listów. Kilka lat temu zniosłam te listy do Wydawnictwa Dolnośląskiego, które chciało je wydać, a tymczasem na list o wyrażenie zgody na druk Dagmara w ogóle nie odpisała, więc edycja nie jest możliwa. Gdyby zrobić psychoanalizę jej postępowania, to ja myślę, że wypadłaby bardzo na jej niekorzyść. Myślę, że czas to powiedzieć, i warto to powiedzieć, że najbliższa rodzina poety, tzn. dwaj bracia, zachowują się zupełnie dziwnie, powiedziałabym nawet: idiotycznie. A mianowicie robią wszystko, żeby Wojaczka opakować w ładny papier, którego używa się do zawijania prezentów, zawiązać wstążeczką, i na półeczkę...

Np. słyszałam gdzieś, że to był świetny ojciec. A prawda jest taka, że on córki nigdy na oczy nie widział. Kiedy myśmy się poznali, to oczywiście może to być przeciwko mnie, że ja związałam się z człowiekiem żonatym, ale on z żoną nie miał już wówczas żadnych związków: ona mieszkała w Zawierciu, a on we Wrocławiu. Tak więc dziecka, które urodziło się w czerwcu 1966 r. Rafał w ogóle nie widział, a potem matka załatwiła rozwód, że Rafał nawet się nie zjawił na sali sądowej, jego matka płaciła alimenty, myślę, że trzeba to powiedzieć.

– *Jakie będą Twoje dalsze postanowienia?*

– Na pewno wydám tę książkę, choć nie mogę powiedzieć kiedy. Z drugiej strony ilekroć czytam w rękopisie albo wiersze, albo listy, to mam ciągle wrażenie, że to jeszcze nie ten czas,

że ja tego jeszcze nie w pełni pojmuję. Może dopiero ukaze się na 30-lecie śmierci Rafała. Będzie to książka, w której znajdzie się także b. wiele ciekawych anegdotek, przepięknych, przepysznych, takich, które ożywią Wojaczka, nie tyle ułatwią zrozumieć jego osobowość, ale pokażą iloma barwami błyszczał, jaki był złożony. Listy są przepiękne, aż dziw bierze, że to pisał 20-letni szczyl, ale tak dojrzałe. Rękopisy wierszy i listów przekażę kiedyś do biblioteki naukowej (może do Ossolineum), tam będą bezpieczne. I dostępne dla badaczy literatury.

*(II, VIII/96)*

**'Dopisek Piotra Czyżyka.** Muszę skorygować zdanie Szefa (który wyjechał sobie beztrako do Paryża): w sierpniu 96 r. w księgarniach pojawiły się w Bibliotece Klasyki Wydawnictwa Dolnośląskiego **Wiersze Wojaczka** (oprac. Bogusław Kiere), obejmujące oprócz 4 zbiorów także teksty rozproszone. Co prawda zbiór nie zawiera wszystkich wierszy zamieszczonych w ossolińskich **Utworach zebranych** (Wr. 1976), brak mi szczególnie 2 wierszy: „Wybaczcie piechocie” (nb. Kiere cytuje w posłowie 3 linijki...) i „Notatek do opisu Janusza Stycznia”, za to ukazały się utwory, które usunęła wówczas cenzura (m. in. znakomita „Modlitwa szarego człowieka”). Najważniejsze, że **Wiersze Wojaczka** w księgarniach: teraz się okaże, czy to klasyki biblioteczny, czy też klasyk żywy. A jeszcze tak niedawno można go było spotkać w kawiarni wrocławskiego „empiku”: tylko 25 lat temu...

## Życie naśladowuje sztukę?

Raczej nie przepadam za aforyzmami Oscara Wilde'a; może dlatego, że nie lubię ironii angielskiej. A teraz muszę przyznać, że sprawdził się jeden z jego najgłośniejszych paradoksów: to, co ja wymyśliłem w powieści, ktoś inny dokładnie wykorzystał w rzeczywistości. Oto Wilde: *Życie w znacznie wyższym stopniu kopiuje sztukę niż sztuka – życie*. W mojej powieści *Sto czyżyków* (i piórko rajskiego ptaka) (Wr. 1978,



s. 191-192; wyd. 2, Kr. 1988, s. 189) znajdują się takie zdania: *W siedemdziesiątym drugim, idąc do kuzyna zauważył nową tablicę tuż nad drzwiami garażu: tu mieszkał Jerzy Kowalski, tu mieszkała Anna Kowalska, tu przebywała Maria Dąbrowska. W tym domu i w tym ogrodzie. W maju na sąsiednim budyneczku nowa tablica: w czterolecie śmierci Rafała Wojaczka, poety (Piotr chyba słyszał coś tam o nim, może go nawet spotykał w „empiku”); i taki tajemny (masoński?) dwuwiersz:*

Musi być ktoś, kogo nie znam, ale kto zawładnął  
Mną: moim życiem, śmiercią; tą kartką

Oczywiście, takiej tablicy nie ma do dziś na domu przy ulicy Lindego 12 we Wrocławiu, w którym kilka lat mieszkał i zmarł Wojacek. Kilka lat temu siostra przysłała mi wycinek z katowickiej gazety o wmurowaniu 7 XII 1992 r. tablicy poświęconej pocie – na ścianie domu przy ul. 1 Maja 8 w Mikołowie, w którym się urodził i spędził większość życia. Oprócz napisu *Z tego domu wyszedł w świat przeczytać tam można dwuwiersz, który ja wybrałem dla nie istniejącej tablicy wrocławskiej, czyli „Musi być ktoś”* ze zbioru *Którego nie było*. Wspomina o tej tablicy również Szczawiński w książce o Wojaczku. Zapewne nikt z pomysłodawców nie czytał moich *Stu czyżyków*. A może jednak? Albo ktoś mógłby powiedzieć, że *Czyżyki* nie są dziełem sztuki, więc nie wypada tu przywoływać staroświeckiego Wilde’a. A może jednak?

## Ugodzeni przez słowa...

Mieczysław Machnicki jest dziennikarzem i publicystą oraz poetą i prozaikiem (zbiór *Czy sta moralność* – 1982). Między tymi dwoma działaniami piśmienniczej aktywności – jak zauważył trafnie kiedyś Wiktor Woroszyński omawiając wiersz Machnickiego w *Zwierciadle*, w „Albumie poezji miłosnej” – nie ma w zasadzie korespondencji. Wiersze Machnickiego są wizyjne, asocjacyjne, jakby bez odniesień do konkretów tu i teraz. Oczywiście, w pięciu dotąd wydanych tomikach znaleźć można frazy, które

aluzyjnie odnoszą się do rzeczywistości codziennej, nie tylko do metafizycznej, ale są to raczej wyjątki. W ostatnim zbiorze *Wiersz po latach* (1993), zawierającym (jak czytam na karcie tytułowej) utwory z l. 1978-1992, takich odniesień nieco więcej (por. „Zapowiedź”, „Pisać po polsku”). Na mnie największe wrażenie zrobił wiersz „Mrówki faraona”, który po raz pierwszy czytałem prawie 10 lat temu w jednym z czasopism. Wiersz-wyznanie, wiersz-samousprawiedliwienie, a zarazem prośba (do czytelnika, do potomnych) o wyrozumiałość. Przytaczam pierwszą część i trzecią.

*Pomiędzy nami: pamięć,  
ale lopata inne warstwy ziemi  
odsloni w naszych grobach –  
bo niemożliwe, że pomrzemy  
razem, twarzą w twarz,  
ugodzeni przez słowa:  
wolność, godność, sprawiedliwość,  
nadzieja, prawda, ach  
zapomniałem, że o tym nigdy  
nie pisałem: strach.  
(...)*

*... a są ich tysiące tysięcy,  
ze wszystkich kątów milcząc,  
krzyczą: nie zabijaj nas, Bóg  
nie zwykł pochylać się nad  
zlewem, koszem do śmieci,  
srebrną cukierniczką.*

Cóż można dopowiedzieć? Nic.

## Początek jazdy: wsiadami

Od kilkunastu już lat nie śledzę dokładnie, co się dzieje w życiu literackim, co u młodych. A tu w ostatnich latach w prasie i okienkach telewizyjnych brylują pisarze z pokolenia naszych synów. Czytam/przeoglądam wiersze w czasopismach, czasem wpadnie mi w ręce jakiś tomik – zachwycony nie jestem.

Kupiłem sobie nawet *Parnas bis* (wyd. 2, Wwa 1995), by czegoś więcej dowiedzieć się o nowych rocznikach; i nadal jestem głupi. Tak, „nasi synowie” mają świetne samopoczucie literackie i wielką przebojowość (jeden z młodych poetów wydał już ponoć 20 tomików!). W *Par-*



nasie bis spotykam i takie „poetyckie” charakterystyki: *w młodości była podobno bojową Ukrainką, najbardziej „męska” spośród poetek; sam [XY] – człowiek sukcesu przez rok stał się potwornym bufonem* itd.

Myślałem, że tylko ja tak sobie wybrzydzałem, całkowicie prywatnie, bo na giełdzie literackiej jako krytyk od dawna nie gram, a tu w 1995 r. przeczytałem w *Tygodniku Powszechnym* obszerny szkic polemiczny Juliana Kornhausera, a więc osoby jak najbardziej kompetentnej, wybitnego zarazem poety. Młoda poezja obniżyła loty – mówi autor *Zjadaczy kartofli*. I powiedziałem głośno: i ja tak mniemam. Większość młodych poetów pisze tak, jakby nie przeczytali ani liniiki Przybosia, Karpowicza, Białoszewskiego, Krynickiego, Kornhausera itd., może tylko kilka wierszy Miłosza i Różewicza...

Oczywiście, nie wszyscy, zapewne liderzy pokolenia nie zostali jeszcze rozpoznani (na pewno nie są nimi ci, o których teraz najgłośniejszy). Czasem i ja natykam się w czasopiśmie, które mnie przyjemnie zaskakują. Oto niedawno przeglądając, nadesłany mi przez Andrzeja Pańkę, bytomski kwartalnik *FA-art* (1995, nr 2) zauważyłem wiersz Macieja Meleckiego „Koniec jazdy”, który mnie zachwycił. I swoją prostotą, i znakomitym wykorzystaniem mowy potocznej – dopiero całość stanowi metaforę. Zapewne to wiersz „o’harowski”, chyba to nie jest pastisz czy tłumaczenie – nie wiem.

*Autobus zjeżdża na pobocze drogi i nagle staje. Krepy kierowca wychodzi ze swojej kabiny i zagląda pod podwozie. Po chwili wraca i ryczy: koniec jazdy! Wszyscy wychodzą na zewnątrz ocieżale i gęsiego. Jak na początek kwietnia – arktycznie. Ukośny, mokrawy śnieg i dywanowe naloty chmur. Do najbliższego przystanku jest może dalej niż do nieba. Młodzi zaczynają łapać okazję. Starzy, ruszając do przodu, człapią i gestykulują.*

Z ciekawości jeszcze raz zajrzałem do *Par-nasu bis*, a tam czytamy, że Melecki *zapowiada się na jednego z najlepszych nowych poetów*. Chyba tak. Melecki urodził się w 1969 r. w

Mikolowie; nie wykludzone, że inny mikolowiak, Rafał Wojaczek, mijal go nieraz na ulicy, gdy leżał sobie beztrudnie w wózekcu...

## Głowiński: badacz i pisarz

Nie tak łatwo napisać krótką notę o Micha-le Głowińskim, by nie popaść w ton laurkowy, choć jest po temu okazja. Mianowicie otrzymał on w 1996 r. nagrodę *Odry* za książkę *Pisma 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach* (Wwa 1995). Ale na uroczystości wręczenia nagrody nie byłem, bowiem redakcja *Odry* zorganizowała spotkanie zamknięte (z obawy przed terrorystami literackimi? studentami polonistyki? miłośnikami miesięcznika?) – nawet nie podano wcześniej publicznie jego daty. Gdybym ją znał, przyszedłbym bez zaproszenia, by osobiście pogratulować Laureatowi, może zostałbym łaskawie wpuszczony do Klubu Związków Twórczych. Obejrzałem później migawki w telewizyjnych „Faktach”, w których przytoczono kilka zdań i Laureata, i Laudatora.

Zapamiętałem nazwisko Głowińskiego już chyba pod koniec lat 50., gdy zacząłem czytać *Twórczość*. Książkę *Poetyka Tuwima a polska tradycja literacka* (1962) omawialiśmy szczegółowo w 1963 r. na seminarium magisterskim na Uniwersytecie Wrocławskim. Potem kupowałem, już bez zachęty kogokolwiek, następne książki Głowińskiego, czytałem w księgach zbiorowych i czasopiśmie jego studia i eseje (głównie w *Tektach*), posiłkowałem się na co dzień *Słownikiem terminów literackich*, którego jest współautorem, mimo że coraz bardziej odchodziłem od polonistycznych zainteresowań. Były to lektury zawsze pouczające, a zarazem przyjemne: niemal porażała mnie przenikliwość dociekań autora, niebawoma erudycja, także jego wynalazczość terminologiczna (no tak, Głowiński jest przede wszystkim teoretykiem literatury) oraz (czego nie można powiedzieć o większości polonistycznych autorów) łatwo rozpoznawalna elegancja narracji. Zapomniałem dodać, że jest Głowiński – oczywiście, oczywiście – profesorem (tu sparafrazuję Wojaczka z „Notatek do opisu Janusza Stycznia”: „profesor to brzmi



nie najgorzej /choć zdaje się/ o to nie stoi”), członkiem akademii (PAU, PAN) i towarzyszem naukowych. Jest także pisarzem, nie tylko jako autor „Małych szkiców”.

I po 1956 r., i po 1989 r. pisano (i chyba słusznie), że szuflady pisarzy i badaczy okazały się puste. Wiadomo, nie ma reguły bez wyjątku; takim wyjątkiem jest m.in. Głowiński. Nie przypuszczałem oczywiście (znałem jedynie jego publikacje), że oprócz solidnych studiów i esejów, drukowanych w oficjalnych wydawnictwach i periodykach PRL-owskich, w których nie można się było doczytać jakichkolwiek aluzji do rzeczywistości pozatekstowej, przygotowuje on pracowicie materiały do obszernego dzieła, którego trzy tomy już się ukazały, dzieła dokumentu o języku propagandy PRL-u, a którego walory zostaną należycie docenione chyba dopiero przez następne pokolenia.

Oto niepełna lista tytułów Głowińskiego (niepełna, bo nie obejmuje tekstów drukowanych w księgach zbiorowych i czasopismach), wydanych po 1989 r., które leżą na moim biurku: *Mity przebrane* (1990), *Nowomowa po polsku* (1990), *Marcowe gadanie* (1991), *Rytuał i demagogia* (1992), *Peereliada* (1993), *Pismak 1863* (1995), *Mowa w stanie obłąkania* (1996). Muszę także wspomnieć o dwu książkach, które w bibliotekach: „*Ferdynand Witolda Gombrowicza* (1991), *Poetyka i okolice* (1992).

Czytam Głowińskiego z admiracją, co nie znaczy, że bezkrytycznie. Jeśli w pracach teoretycznoliterackich jest czasem nazbyt chłodny (co zresztą nie dziwi), to w *komentarzach do słów* – niekiedy nazbyt emocjonalny (no tak, trudno się było – mnie też – nie denerwować, gdy się czytało pracę oficjalną po 1981 r.). Całkowicie nie przekonuje mnie szkic „Socparnasizm”, drukowany najpierw w 1981 r. w *Polityce*, a potem w *Rytuale i demagogii*, zwłaszcza że Głowiński do socparnasistów zaliczył (w pierwodruku – nazwisk tych nie ma w edycji książkowej) Andrzeja Kuśniewicza i Leopolda Buczkowskiego. Zresztą sam autor miał wątpliwości, o czym świadczy jego „Dopisek po dziesięciu latach” w wydaniu książkowym szkicu.

W czasopiśmie ukazują się w ostatnich latach „Małe szkice” (głównie w gdańskim *Tytu-le*) i fragmenty prozy wspomnieniowej (*Tygodnik Powszechny, Odra*). Jakże teksty trzyma jeszcze w szufladzie Michał Głowiński?

## Słownik nazbyt skromny

W języku polskim tak mało przekleństw i wulgaryzmów? Mimo że z autopsji wiem (nie tylko ja), że jest ich znacznie, znacznie więcej. **Słownik polskich przekleństw i wulgaryzmów** Macieja Grochowskiego (PWN, Wwa 1995) to chyba próbne podejście: książka to cieniutka (hasła zajmują jedynie 135 stron), choć wielce pożyteczna. Autor solidnie opisał najbardziej znane wszystkim wulgaryzmy (przekleństwa są tu na doczepkę, może dlatego, by tytuł książki brzmiał mniej szokująco), w różnorakich związkach frazeologicznych i odcieniach znaczeniowych (tak np. najczęściej używane „brzydkie wyrazy” mają wiele podhasel: dupa – 93, chuj – 48, kurwa – 20, pizda – 15), podał cytaty (niestety, zestaw źródeł jest b. skromny przypadkowy, nie rozumiem, dlaczego autor podpira się tak obficie przekładami). To pierwszy w polskiej leksykografii tak sumiennie opracowany słownik wulgaryzmów, niewątpliwie b. potrzebny, bowiem w poprzednio wydawanych słownikach nie tylko cenzura nie dopuszczała do druku niektórych wyrazów, lecz także leksykografowie (jak również redaktorzy, np. *Nowej księgi przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich*) wykazywali się niebywałą pruderią.

Autor wyjaśnia we wstępie, że w **Słowniku rejestruje się jednostki używane we współczesnym języku ogólnopolskim**, że pomija się regionalizmy, gwaryzmy, wyrazy żargonowe, itd. To założenie jest przyczyną istotnej słabości słownika, bowiem moim zdaniem samodzielny słownik przekleństw i wulgaryzmów powinien objąć wszystkie odmiany polszczyzny, dopiero wtedy osobna edycja ma sens. Obecnie książkę Grochowskiego traktuję raczej jako aneks do PAN-owskiego **Słownika języka polskiego** niż dzieło pionierskie. Dziwię się, że autor uznał wyrazy „pierdoła/pierdoły” za pospolite/wulgar-



ne, natomiast „dziwka” w ogóle się tu nie pojawiła (czyli jest to słowo niewulgarne?). Autor zapewne nie pochodzi z południowych regionów Polski, bo brak w **Słowniku** trzech powszechnie tu używanych – odnotowanych w wielu powieściach – wulgaryzmów: buc (Kraków), ciul (Katowice), nasermater (Wrocław), a zarejestrowana została środowiskowowarszawska „kuciapka”.

W 1969 r. pewien poeta wrocławski opublikował w almanachu wiersz, który tak się zaczyna:

*ucieczka to kurwa znam ją jak własną kieszeń*

To jedno słowo tak oburzyło rodzinę, że autor wyrzekł się tego wiersza, nie włączył go do żadnego zbioru (choć należy do najlepszych w jego obfitym dorobku). Wulgaryzmy leksykalne mają takie same prawa w literaturze jak np. słowa pieśzczołliwe, są nieusuwalną częścią polszczyzny, powinny więc znaleźć się w każdym wielkim/średnim słowniku języka polskiego. Wiem, to nie tylko problem językoznawczy, także wychowawczy, obyczajowy, estetyczny itd. Książka Grochowskiego – mimo wszystkich – zastrzeżeń jest pozycją niezwykle cenną: mam skromną nadzieję, że jej drugie wydanie będzie co najmniej trzykrotnie grubsze...

## Karpowicz w grudniu 96 r. kończy 75 lat

Gdy poeta wyjeżdżał pod koniec 1973 r. do USA, na roczne stypendium literackie University of Iowa, nikt chyba (łącznie ze stypendystą) nie przypuszczał, że pobyt poza krajem tak się przedłuży. Weześniej na Uniwersytecie Wrocławskim uzyskał Tymoteusz Karpowicz doktorat na podstawie pracy o poezji Leśmiana (zamykam oczy i widzę w dniu obrony dysertacji siedzących w pierwszej ławce, podczas przerwy, gdy komisja wydziałowa opuściła salę, by się naradzić, Karpowicza i Tadeusza Różewicza, żywo rozmawiających, zapewne o poezji), co pozwoliło mu uzyskać później etat wykładowcy na uniwersytetach USA i Niemiec, a w 1978 r. – profesora literatur słowiańskich na Universi-

ty of Illinois w Chicago. W 1992 r. przeszedł na emeryturę i mieszka pod Chicago. Tyle wyczytałem w słowniku **Współcześni polscy pisarze i badacze literatury** (Wwa 1996, t. 4).

Już po wyjeździe, w 1975 r. ukazały się w Ossolineum **Dramaty zebrane** i **Poezja niemożliwa**, a w 1978 r. wrocławski Teatr Współczesny wystawił dramat „Kiedy przychodzi anioł”, ale później nie pojawiły się (ani w kraju, ani zagranicą) nowe książki Karpowicza. Jedyne w 1989 r. wydano w Warszawie fragmenty „poematu polimorficznego”, nb. krążącego po Polsce wcześniej w kopiach maszynopisowych, pt. **Rozwiązywanie przestrzeni**. Czyli właściwie nie znamy dorobku poetyckiego Karpowicza po 1973 r. W telewizyjnym filmie dokumentalnym (emisja: 6 kwietnia 1994 – II pr. TVP) autor **Odwróconego światła** wypowiedział się m. in. o wciąż nie skończonym **Rozwiązywaniu przestrzeni**, pokazywał kartoteki z obszernymi fiszkami, które zawierają wypisy z setek książek, które pozwolą mu uniknąć – jak podkreślał – powtórzeń cudzych myśli. Na mnie (i wielu moich znajomych) słowa Karpowicza, siedzącego w dzień w zaciemnionym pokoju, wśród tysięcy fiszek, zrobiły spore wrażenie: oto poeta nie kupił sobie komputera, moźolnie przedziera się przez myślowy dorobek tysiąceci i jest pełen optymizmu, że pracę zakończy w najbliższych latach.

W Polsce – niestety – o Karpowiczu prawie zapomniano: nie ma w księgarniach jego książek, a krytycy – dawni jego admiratorzy – wychwalają teraz Miłosza i Herberta (z wyjątkiem A. Falkiewicza, por. jego świetny szkic w *Te-kstach Drugich*, 1991 nr 3), w opracowaniach syntetycznych nazwisko Karpowicza pojawia się jako jedno z wielu, często w kontekście poetów drugo- i trzeciorzędnych. Wiem jednak, że Wydawnictwo Dolnośląskie zamierza wydać i **Wiersze wybrane**, i **Rozwiązywanie przestrzeni**, gdy tylko autor postawi ostatnią literę (nie, nie kropkę: poeta dawno zrezygnował ze znaków interpunkcyjnych).

Tak to bywa w Polsce: i Karpowicz, i Leopold Buczkowski, a więc dwaj chyba najbardziej samoswoi i niepokorni autorzy w literatu-



rze polskiej XX w., wciąż czekają na właściwy moment, gdy zostaną odkryci/odczytani na nowo, nie tylko jako dziwolagi, eksperymentatorzy czy mędrcy, lecz jako – tu posłużę się dedykacją Wojaczka z *Nie skończonej krucjaty* – mistrzowie mowy polskiej. Nie mam wątpliwości, że tak będzie. Jeśli nie już jutro, to na pewno pojutrze.

## Proza wg Łukosza

Książka Jerzego Łukosza *Byt bytujący* (Wctwo UW., Wr. 1994) nie wywołała (oprócz szkicu T. Komendanta w *Twórczości*) polemik. To jeszcze jeden dowód, że życie literackie w Polsce prawie zamarło, mimo że – jak nigdy w ostatnim pięćdziesięcioleciu – ukazują się kilkadziesiąt czasopism literackich, mimo że pojawia się sporo interesujących (już niepeerelewskich) książek, nie ma jednak sporów literackich. W tym *eseju o prozie* (jak czytamy w podtytule), składającym się ze szkiców-manifestów, szkiców o książkach kilku pisarzy, których Łukosz stawia na pomniku (J. M. Rymkiewicz, W. Myśliwski, L. Buczkowski, T. Różewicz, D. Bitner, A. Falkiewicz), zakreśliłem ołówkiem wiele zdań, z którymi się solidaryzuję. Oto kilka zdań, które chciałbym wyeksponować (s. 29):

*Prozie wystarczy, jeśli wszystko nazwie po swojemu. Żadna rzecz nie ma istotnej dla prozaika uniwersalnej nazwy. W każdej prozie nazwa ta będzie inna, słowo będzie inne – choć nazwa, słowa brzmień mogą tak samo. W każdej prozie imiona, nazwy, słowa i zdania przynależą do innego ludzkiego uniwersum. Słowo prozy jest w stanie chwycić światło najprzeróżniejszych kosmosów. Dlatego sztuka prozy to sztuka – pośród sztuk literatury – najbogatsza. Przewyższa nawet sztukę poezji, gdyż – inaczej niż poezja – potrafi tchnąć w jedno i to samo słowo wiele znaczeń.*

Dopowiem, że w *Bycie bytującym* potykałem się niekiedy o zdania poetyckie (a nawet „poetyckie”): poezja jednak *mami*, mimo wszystko.

## „Odra” ma już 35 lat (i kilka miesięcy)

A ja pamiętam pierwszy – marcowy – numer, który ukazał się już w lutym 1961 r. Później

zmieniała się kilkakrotnie szata graficzna pisma, zmieniali się redaktorzy naczelni (Tadeusz Lutogiewski, Klemens Krzyżagórski, Zbigniew Kubikowski, Waldemar Kotowicz, Ignacy Rutkiewicz, a obecnie jest nim Mieczysław Orski) i stali współpracownicy, to podnosił się, to spadał nakład (obecnie: 4600 egz.), a *Odra* zachowała w zasadzie – od pierwszego do ostatniego wydanego nru – swój stały profil poważnego czasopisma publicystyczno-literackiego. Należę chyba do nielicznych czytelników *Odry*, którzy mają na domowych półkach wszystkie egzemplarze (od 1 do 418, oprócz nru 12 – 250 – z grudnia 1981 r., który ponoć się nie ukazał, ale został wciągnięty do numeracji ciągłej, co do dziś stanowi nie rozwiązana zagadkę): nawet nie zmierzylem, ile centymetrów zajmują wszystkie roczniki, tak na oko prawie 400...

Nie ukrywam: brakuje mi w *Odrze* (w dawnej i obecnej) ostrego polemik, dyskusji niegrzecznościowych, czasem zadziwia mnie pewna profesorskość tekstów eseistycznych (no tak, w radzie redakcyjnej rozpoznaję nazwiska 7 profesorów, w tym 3 b. rektorów!), ale to nie znaczy, że nie podoba mi się profil pisma – wręcz przeciwnie. Kupuję kolejne nry *Odry* z pełnym zaufaniem, bo wiem, że w każdym przeczytam co najmniej kilka tekstów pobudzających do refleksji. Kupuję nie tylko z przyzwyczajenia! Do złotego jubileuszu niedaleko – i ja chciałbym go doczekać. Mam nadzieję, że mecenas nie utopi *Odry* w Wiśle. Bo i takie słuchy dochodzą z Warszawy, by *Odrę* przenieść do stolicy. Nie, „*Odry*-Wisły” na pewno nie będę czytał (ani też nie zapiszę się do Stowarzyszenia „*Odra*-Wisła”)...

## Przeczytałem w gazecie!

**Wino luzem  
tanio sprzedamy**



## Najpiękniejsza dedykacja

Dzisiaj już nie pamiętam, czy to był mój kaprys, czy też może czytelnicze odchylenie... Choć mogłem w 1964 r. przeczytać wygodnie w domu kolejne (chyba już czwarte czy piąte) wydanie, wolałem w ossolińskiej czytelni skorzystać z pierwodruku. Czyż miejsce i data wydania nie brzmią podwójnie egzotycznie: Jerozolima 1944, Wydawnictwo „W Drodze”? Ile osób wówczas w Palestynie – w Jerozolimie, nad Genezaret, nad Jordanem, nad Morzem Śródziemnym, na Pustyni Judzkiej – przeczytało *Srebrne orły* Teodora Parnickiego? Oto dwa tomy: papier zółkły po brzegach, okładki nierówno obcięte. Oto trzymam w ręce dzieło, które pożegnało sienkiewiczowską powieść historyczną. Dla dorastających panienek i sentymentalnych staruszków. Zafrapowała mnie od razu dedykacja: *Elżbiecie Parnickiej gdziekolwiek jest*. Właśnie: gdzie była wówczas? Żona, siostra, matka? O swoich przygodach życiowych Parnicki opowiadał i pisał później wielokrotnie (i w wywiadach, i **Rodowodzie literackim**). Aresztowany we Lwowie przez NKWD na początku 1940 r., zwolniony został w połowie 1941 r. po podpisaniu układu polsko-radzieckiego. Potem pracował w Ambasadzie RP w Moskwie i Kujbyszewie. Z Armią Andersa przybył na Bliski Wschód; w Jerozolimie pod ostatnim zdaniem *Srebrnych orłów* postawił datę: 1943. Później w Zachodniej Europie, wreszcie w Meksyku – prawie aż do końca lat sześćdziesiątych, kiedy powrócił na stałe do Warszawy. Pamiętam, że wspomniano też wówczas o meksykańskiej żonie – nie, nie o Aztecce, co by mnie wcale nie zaskoczyło (wręcz przeciwnie!), lecz o Polce.

A co się stało z Elżbietą? Całkiem przypadkowo, już po jej śmierci, jedna z jej dalekich powinowatych pokazała mi kilka odziedziczonych po niej książek Parnickiego, z miłymi dedykacjami autora, a także piękny plan Breslau sprzed 1928 r. Zmarła w 1984 r., została pochowana na cmentarzu Grabiszyńskim we Wrocławiu. Mówiono na nią Ela. Z domu Jackowska.

Pierwsza żona pisarza. Do połowy 1945 r. ani ona, ani Teodor, nie mieli o sobie żadnych wiadomości. Dedykacja w *Srebrnych orłach* była gołąbkim, który miał polecieć na wszystkie strony świata. Nie wiem, kiedy doleciał do cichej myszki, jak ją nazywali znajomi. Nikt z rodziny Elżbiety nie został ze Lwowa wywieziony w głąb ZSRR, bez specjalnych przykrości przeżyła ona, i jej rodzina, okupację niemiecką. W 1945 r. Elżbieta Parnicka, wraz z matką i bratem, przyjechała ze Lwowa do Wrocławia. Mąż odnalazł ją rok czy dwa później, zachęcał do wyjazdu na Zachód, lecz ona nie chciała opuścić schorowanej matki. Rozwód odbył się per procura; Teodor ożenił się powtórnie, ona zaś pozostała osobą niezamężną. Pracowała we Wrocławskim Wydawnictwie Prasowym RSW „Prasa”. Nie czuła do niego urazy, serdecznie o nim opowiadała, ponoć powtarzała czasem, że winna jest przede wszystkim ironiczna Pani Historia, która śmieje się bezczelnie z ludzkich losów.

We Wrocławiu wiele lat mieszkała na Oporowie, a pod koniec życia w galeriowcu w pobliżu placu Powstańców Śląskich. W ostatnich latach życia często przesiadywała w parku na placu Powstańców Śląskich, naprzeciw przystanku tramwajowego, a obok Pomnika Poległych Milicjantów (rozebrano go w 1990 r.): dokarmiała gołębie. Może i ja widywałem, czekając na tramwaj, tę szczupłą, siwą staruszkę rozrzucającą okruszki? Albo spotykałem ją na ulicy, wszak też do 1978 r. mieszkałem w pobliżu placu Powstańców Śląskich? Wyświetlam film: siwa, jakby nieobecna kobieta, obok kilkanaście gołębi. Czy to mogła być ona, dla której w Jerozolimie mąż wymyślił najpiękniejszą dedykację? Dedykację – miłosny list gończy.

Kilka lat temu szukałem na cmentarzu Grabiszyńskim jej grobu. Zaraz po lewej od bramy – tam groby z 1983, 1984, 1985. Szukałem ponad godzinę: za murem pędziły na Oporów tramwaje i auta, hałasy nazbyt uciążliwe dla żywego, a co dopiero dla umarłych. Nie znalazłem. Bo chyba na jej grobie powinien być taki napis: *Gdziekolwiek jest – będzie*. Jak długo będą latać *Srebrne orły*. (95)



## Ręce, czyli kogo postraszył Jan Kaja

Postacie jakby wydłużone. Z długimi (nadmiernie – nie wiem) nogami i rękami. Może lepiej: rękami? Uśmiechają się głupkowato. Tak, to uśmiech idiotów z obrazów dawnych mistrzów. Czyż mężczyźni z „Łodzi głupców” Boscha mają inteligentniejsze twarze? Ot, niewielka, źle oświetlona, podłużna deska w Luwrze; na reprodukcjach lepiej widać księżyc! A może w salonie (na środku tam owalny, czy też okrągły stół?) prawie dwumetrowe obrazy mają odciągać wzrok od secesyjnego (prawie trzymetrowego) kaflowego pieca? Chyba tak. Chytry wybieg. Postacie z obrazów gapią się bezczelnie, że nie wypada podnosić oczu znad stołu. Za często. Tylko ręce jakby naprawdę za długie; to przecież ręce czekające na niczego się nie spodziewające gładkie dziewczęce szyje. To ręce mordercy, ręce, które straszły mnie (kilkakrotnie!) w nocy w pokoju Jana Kai (a na dodatek za oknem rżały konie husarzy hetmana Sobieskiego, zmierzających pod Chocim; już ze szkoły podstawowej wiem, że wygrają bitwę z wojskami tureckimi).

Ręce mężczyzn z obrazów – zdaje się: sprzed kilkunastu lat – Jana Kai. Czyż muszą mnie nadal straszyć w nocy nim zapalę lampkę, a pęcherz ściska bezręcznie? Wiem, gdy świeci lampka, nic mi nie grozi: obrazy Kai daleko stąd. Gdy teraz – po kilku latach – oglądam w katalogu reprodukcje kilku obrazów z tego cyklu, pocieszam się ze zdziwieniem: niepotrzebnie się bałem, to raczej ręce reumatyka (postępowego) niż ręce mordercy dziewczic.

(IX/88)

### Bydgoscy galernicy Kaja i Soliński

Galeria Autorska Jana Kai i Jacka Solińskiego (albo Solińskiego i Kai) działa w Byd-

goszczy od 1979 r. W 1995 r. ukazała się wspólna książeczka *Calość i fragmenty* (o której wspominał już drugi *Przecinek*), dokumentująca różnorakie inicjatywy (plastyczne i literackie) GA w l. 1979-1995. I ja bywałem nieraz w Bydgoszczy na wernisażach na Chocimskiej 5; miałem tam wieczór autorski, do którego suplementem był zbiorek małych próz *Melancho-lijka polonaise* (1987). Do katalogu, który miał się ukazać (a jednak się nie pojawił) na 10-lecie GA, napisałem mały, na pół żartobliwy tekst, który drukuję obok. Jacek Soliński (nie tylko plastyk, także autor kilku wspaniałych zbiorów grafiko-poematów) wykonał dla mnie w l. 80. kilkanaście ekslibrisów – reprodukuje jeden. Od roku nie mam z Bydgoszczy żadnych wiadomości; mam nadzieję, że Kaja i Soliński nadal rysują, malują, odbijają grafiki, piszą i wystawiają. Może to po prostu wina poczty: nie dostarcza mi druczków i zaproszeń na wernisaże, na które i tak nie mógłbym (niestety, niestety) pojechać. Albo przesyłki trafiają pod inny adres.





## Czytelnicy o drugim „Przecinku”

Drugi *Przecinek* czekał po korektach pod koniec listopada 95 r. na... Niestety, zaprzyjaźniona TOSHIBA zastrajkowała; jedną ze śrubek trzeba było sprowadzić aż z Japonii, co trwało ponad miesiąc (czy jesteśmy już w Azji?) i dopiero w pierwszej dekadzie 1996 r. otrzymałem pierwsze egzemplarze...

Niestety, *Le Monde* nie wspomniał nawet o ukazaniu się drugiego zeszytu. Za to Barbara Sola we wrocławskim *Słowie Polskim* (nr 27 z 1 II 1996) pochwaliła pismo, a zarazem zapytała: *W czasie lektury brakowało mi jeszcze jednej ilustracji, mianowicie Don Kichota z motyką. Czy bowiem wydawanie dziś w czasie uniformizacji i masowych, błyszczących stronic, pisma z chropowatymi, jasnożółtymi okładkami (...) i czarno-białymi rysunkami, nie jest porywaniem się z motyką na słońce? Jest, jest...*

Przeczytałem/wysłuchałem ponad 50 opinii (w tym prawie 30 listów) od czytelników, którzy otrzymali *Przecinek* i byli łaskawi wyrazić spontanicznie swoje uwagi. Jeden z tych listów został już przez nadawcę upubliczniony, czyli list Henryka Berezę (*Twórczość* 1996, nr 7, „Czytane w maszynopisie” – nb. m. in. ta właśnie autorska rubryka, która niegdyś zawierała jedynie recenzje wewnętrzne, potem także wiele innych materiałów, a przede wszystkim „Oniriadę”, zainspirowała mnie do edycji *Przecinka*). Podaję – w układzie chronologicznym – fragmenty ośmiu listów (7 z I półrocza 96 r., ostatni z 3 IX 96 r.). Dlaczego anonimowo? Nie chcę się podparć skrzydlatymi nazwiskami, niech przemówią zdania. Są to opinie różnorakie: i grzesnościowe, i żartobliwe, i napastliwe, i poważne itd. Zdania nazbyt uprzejme – opuściłem. Wśród autorów są i nazwiska wiel-

kie (nawet z malej encyklopedii), i mniej znane, choć wszystkie związane z literaturą.

☒ *Serdeczne dzięki za drugi „Przecinek” i ciepłą notkę o (...), jak też nieukrycie swojego rozczarowania moją prozą. Cenię tego typu szczerość. (...) Zresztą ta ceniona przede mnie ironia, a także zmysł obserwacji, dokładność i rzeczowość opisu widoczne są w „Przecinku” (...). Dobrze, że wpadłeś na tak ciekawy pomysł.*

☒ *Dziękuję za „Przecinek” – nie tylko za przesłany mi kolejny druczek, ale także za to, że Panu coraz bardziej, coraz wygodniej ta forma leży. (...) To cały Pan, Pańskie pisanie: dużo świetnie zobaczonego drobiazgu, skromność, trochę złośliwości (a tak!) pełno szufladeczek-dygresji, tak że cała rzecz porusza się wciąż na wielu poziomach. Musi Pan to ciągnąć!*

☒ *Dziękuję za małe prozy, opowiadanka, eseiki, a także za polemiki i wywiad (...). To także dziełko nie tylko pisarza-realisty, jakim jesteś, pokazującego swoje lusterka ludziom i rzeczom, lecz i adiustatora rzeczywistości, wstawiającego przecinki, gdzie należy. Gdzie zapomnieli o nich semiotyczni niechluje. Nie zginimy we mgłę Londynu.*

☒ *Drogi Panie, niech to będzie jedyny przecinek w tym liście piszmy bez przecinków które blokują siekają naszą wypowiedź dla „Przecinka” ten zaś jest najdalszy od wszelkich ograniczeń Piotr Czyżyk zawsze prowokował by zrewidować nasze nawyki jednak miałem go za człowieka zbyt inteligentnego by zapisywał się do awangardy w każdym razie przecinki rzucają nam nie tyle Klody pod nogi co między słowa i wszyscy stajemy się jednowymiarowi*

*a tymczasem świat jest pełen tajemnic zastanówmy się na przykład co myślą umarli czytając swoje nekrologi (...) przy okazji odkryłem że pisząc po prostu wymyślamy sobie nawzajem idąc tym tropem mógłbym dowiedzieć a nawet*



będę się o to starał że Franz Kafka nie istniał (...)

☒ Przepraszam za zwłokę. Sam jestem jak zwłoki. Nie mogę się wygrzebać z melancholii. Cokolwiek kurewskiej. List leżał, ja leżałem. Teraz siedzę i piszę. Informuję, że w piecu szumi. Nie wiem, dlaczego mi Pan przysłał te książeczki. Ale dziękuję. Fajnie się czyta w kawalkach, w odcinkach, w małych dawkach. Bo hurtem nie. Hurtem jakoś wkurwia, za bardzo egotyczne, przeszycie straszliwym „kompleksem” niedoceny – te notateczki rozsiane po gazetkach i Pan to wpina. No tak. Ja to rozumiem. Tak widocznie musi być. Co ja Panu mogę dać? Sponsor ze mnie do dupy. (...) Informuję, że kończę, bo muszę do niego podłożyć. Niech nadal w nim szumi. Proszę pozdrowić Piotra Czyżyka, któremu niech nigdy w kościach nie strzyka!

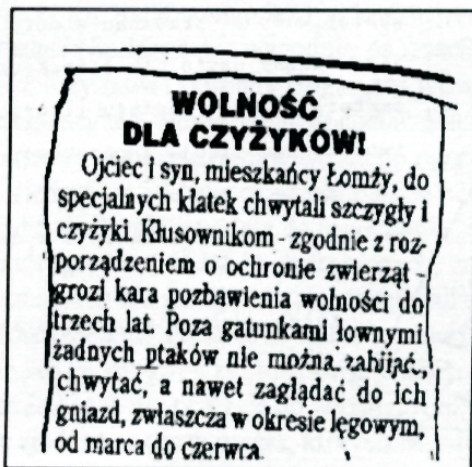
☒ Pańska znajomość bieżącego życia literackiego jest imponująca. Choć od dobrych kilku lat jako historyk i krytyk literatury odnotowuję na gorąco fakty (książki i zdarzenia) z tego życia, z „Przecinka” dowiedziałem się wielu nowych rzeczy. W dalszym ciągu odczuwam jednak niedosyt – przede wszystkim w jednym zakresie: AUTOR. Czy zechce Pan napisać coś o sobie? Z tekstu „Gdzie jesteśmy...” wynioskowałem, że urodził się Pan w 1942 roku. Dobrze, ale co dalej?

☒ Muszę zacząć w stylu stalinowskim, czyli od samokrytyki. A to z tego powodu, że z takim opóźnieniem reaguję na drugi numer „Przecinka”. (...) A więc widzę, że jest Pan chyba jedynym w Polsce pisarzem, który ma swoje własne pismo (...). bo to wydanie rzeczywiście do pisma się upodabnia, choć w dużej części jest autorskim monologiem.

☒ Panie Piotrze, nie mogłem napisać wcześniej - leżałem w szpitalu, dopiero dzisiaj powiadamiam o otrzymaniu „Przecinka”. (...) Można powiedzieć, że „Przecinek” wychodzi pod wezwaniem Leopolda Buczkowskiego, przewodnia myśl od niego pochodzi i dlatego niczym wy-

slannik „Przecinka” pojechałemna „pobojowisko” po Jego domu w Konstancinie, który Pan Jerzy znał. Dom stoi martwy, na okna spadły powieki z blach jako zabezpieczenie przed dzikimi lokatorami. Choć to może konieczność, ale widok wprost chwytą za serce (dom zamordowano). Nie inaczej na wiecznej kwaterze w niedalekim Wierzbnie (...). Mogiła Leopolda to nawet nie wzgórek, tylko płaskie „okopowisko” przyziemne. Nadzwyczaj dobrze zachowała się oficjalna tabliczka pogrzebowa (...). Umieszczona na drewnianym krzyżu. (...) Nie ma nadziei, żeby zrobiono Buczkowskiemu jakiś nagrobek. Mogła tu stanąć jedna z jego rzeźb, wszystkie były w stylu tych, co stoją na zakopiańskim Pęksowym Brzyzku. Syn jakoś o tym nie pomyślał, a teraz już ze Splitu nie pokieruje niczym. (...) Nie mnie wyrokować, czy syn Leopolda powinien zadbać o mogiłę i postawić tu jakiś kamień, choćby polny. Sam alarmowałem kancelarię prezydencką Wałęsy, wojewodę i prezydenta warszawskiego, że Buczkowskiemu należy się nagrobny kamień, ale to nic nie dało. Pierwszego pisarza, który ukazał holocaust, taki los spotkał, może przez analogię do bezimiennych mogił zbiorowych Oświęcimia. Niebawem ta mogiła Leopolda także będzie bezimienna. Tabliczka pogrzebowa nawet na niej nie umocowana.

## Przeczytałem w gazecie!





## Dlaczego nie ukazała się „Mortalia”?

W drugim *Przecinku* Ernest Dyczek opowiadał o swoich przygodach z edycją powieści *Mortalia*. Mogę dziś dodać, że powieść być może ukaże się w 1997 r. w jednej z wrocławskich oficyn. *Przecinek* otrzymało również Wydawnictwo Literackie.

# WL

Telefony: Dyrektor 22-54-23; Redakcja 22-89-50; Dział Promocji 22-48-02  
Księgowność 22-92-77; Dział Produkcji 22-98-32; Dział Handlowy 22-46-44  
Fak: 22-54-23  
Konto: PBK III O Kraków 373407-1049  
NIP 675-000-07-34

WYDAWNICTWO LITERACKIE  
ul. Olępa 1, 31-147 KRAKÓW

4. 2u 2/6/96

Szanowny Panie,

Kraków, 29 I 1996

uprzejmie informuję, że WL rozwiązało umowę z p. Ernestem Dyczkiem na jego powieść pt. „Mortalia” w grudniu 1993 roku. Ówczesna dyrekcja wymieniła z Autorem szereg listów ( uprzejmym i rzeczowym ze strony WL i dość obraźliwych ze strony p. Dyczka, choć rozumiem rozczalenie Autora i gniew z powodu zaniechania produkcji Jego dzieła !), ponadto - ówczesne starania o dotacje z MKiS zakończyły się niepowodzeniem.

Dzisiaj, odpowiadając za aktualny program WL, mogę stwierdzić, że obecnie nie jesteśmy zainteresowani wydaniem tej powieści o charakterze fantastyki społecznej, nie będziemy również występować o przyznanie dotacji na jej publikację. Osobiście - jako uważny czytelnik literatury współczesnej - także nie jestem amatorem tego rodzaju literatury, choć cenię p. Dyczka za inne twórcze realizacje i przekłady z literatury niemieckojęzycznej.

Myszę, że p. Dyczek sam zwróci się do WL, jeśli zamierza podjąć ponownie starania o wydanie swej książki.

Łączę wyrazy szacunku dla Pana i Czytelników „Przecinka”

Zastępca Dyrektora  
dla Programowych  
Krzysztof Lisowski

1000  
96  
1



## Minirecenzji nie będzie

To prawda, minirecenzji nie będzie, bo nie wiem, czy (i kiedy) następny *Przecinek* się ukaże, a po drugie – przestałem się już tak naprawdę interesować tym, jakie nowe książki prozatorskie, poetyckie i eseistyczne zostały wydane. Dlatego też i ten przegląd jest przypadkowy, wspominam w nim jedynie o niewielu książkach, choć nowości mam wielokrotnie więcej.

Andrzej Pańta chyba nie śpi, tylko pisze i tłumaczy... Oto kolejne jego translatorskie pozycje: Rose Ausländer, *W kotle czarownicy* (Górnośląska Macierz Kultury, Katowice 1995) i Horst Bienek, *Gliwickie dzieciństwo* (Miniatura, Kr. 1996). Dwujęzyczny wybór wierszy Ausländer nasunął mi taką myśl: ależ ona pisze jak Różewicz! A może Różewicz jak Ausländer? Ależ nie: to tylko kiedyś polscy teoretycy wymyślili termin „wiersz różewiczowski”, poezja natomiast żyje nie w strofach i rymach, lecz w zdaniach.

*Gliwickie dzieciństwo* to drugi wybór - po *Czasie po temu* (1987) - wierszy Bienka. W tym wydaniu najbardziej wzruszył mnie poemat tytułowy, jako że ewokuje realia, które i mnie są dobrze znane, a też ode mnie przestrzennie oddalone. Świetne są tu prozy poetyckie, a także poemat „Barak Niemcy”, mniej do mnie przemawiają poematy podróżnicze („Głosy z Gwatemali”, „W Australii”). Kiedy ukaże się obszerny wybór wierszy Bienka? Jest on chyba znacznie ciekawszym poetą niż prozaikiem.

Janusz Drzewucki jest zapewne bardziej znany jako krytyk niż poeta. Jego trzeci zbiór wierszy *Podróż na południe* (Cracovia, Kr. 1995) może zaciekać ciepłą melancholią, autoironicznymi impresjami z Krakowa, Warszawy, Trójmiasta, a przede wszystkim z Kruszwicy. Niekiedy jednak nie wiem, gdzie kończy się delikatna ironia, a gdzie zaczyna – czułośćkowość, zwłaszcza że poeta nie użył w tomiku ani jednego grubego słowa.

Karol Maliszewski zyskał sobie w ostatnich latach spore uznanie jako krytyk literacki (m. in. jego nazwisko do Paszportu *Polityki* zgłosił Henryk Berezka). Zbiorek *Rocznik sześćdziesiąty grzebie w papierach* (Przedświt, Wwa 1996) zawiera *wiersze z przelomu i nowe*. To piąty (czy szósty) tomik

Maliszewskiego, pełen buńczucznych tekstów (czasami nieco rozwichrzonych). Mnie wiersze Maliszewskiego przekonują, to nie jest papierowa złość, to mówi ja liryczne, któremu życie naprawdę dało nie tylko po łapach. Razi mnie natomiast natrętny autotematyzm niektórych wierszy: zawodowe rozterki poetów niech zostaną poza wierszem...

Natomiast Bogusława Kierca w *Sekundach* (A, Wr. 1994) wciąż frapują pytania, czy świętość, miłość istnieją na tym świecie. *Nie wiem, co śnię* - mówi poeta w „Rannych kroplach”. A w „Osoli” zapowiada: *Zaczynam się powoli przenosić na Tamten Świat*. Tylko powoli, powolutku!

Muszę także odnotować dwie książki tajemniczego Łukasza Morawskiego, o którym we Wrocławiu dotąd nikt nie słyszał. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że to pseudonim autora, który ponad ćwierć wieku temu drukował pod własnym nazwiskiem wiersze w prasie i almanachach. Oto zbiór erotyków *Witraż* (Werset, Wr. 1994) i zbiór opowiadań *Amfilada* (Werset, Wr. 1996). Wiersze i opowiadania nieco niedzisiejsze, lecz na niezłym poziomie.

Andrzej Falkiewicz wydał w l. 1995-96 aż cztery książki eseistyczne. Oprócz książeczki o Stachurze i wznowienia książki o Gombrowiczu *Polski Kosmos* (A, Wr. 1996) ukazała się pozycja o *świecie pisarskim Mieczysława Piotrowskiego* pt. *Coś z mądrości i lenistwa, snu prawie* (Tow. Przyjaciół Polonistyki Wrocław, Wr. 1995) oraz prawie 500-stronicowa księga filozoficzna *Istnienie i metafora* (A, Wr. 1996).

Czym jest książka o Piotrowskim? Już pierwsze zdanie wstępu dobrze oddaje intencje autora: *Mógłby być sławnym pisarzem o rozgłosie światowym, ale – jak na razie – nie jest nawet znanym pisarzem polskim*. Kolejny paradoks: jest to książka nie mająca nic wspólnego z polonistycznym zadaniem, choć została wydana przez oficynę polonistów, jej celem jest *zachęcić czytelników do poznania pisarstwa Mieczysława Piotrowskiego*. Bo też rzeczywiście jest on autorem zapoznanym. Nie znam wszystkich książek autora *Złotego robaka*, ani tym bardziej nie opublikowanych (a znanych Falkiewiczowi) kilkunastu dramatów. Zapamiętałem natomiast Piotrowskiego jako autora cotygo-



dniowego rysunku na ostatniej stronie warszawskiej *Kultury* (pod koniec lat 60.). Falkiewicz po prostu czyta uważnie utwory Piotrowskiego, stara się wydobyć przesłanie, ustalić relacje między bohaterami. Tylko tyle? Aż tyle...

Natomiast **Istnienie i metafora** nie jest ani dysercją, ani traktatem filozoficznym (choć zapewne autor mógłby na jej podstawie uzyskać habilitację), jest czymś więcej niż esejem, jest propozycją, w której Falkiewicz polemizuje (jak równy z równym) i z Platonem, i z Einsteinem, i z Heideggerem (i wieloma innymi). Falkiewicz podkreśla, że nie jest zawodowym filozofem, stara się pisać tak, by zrozumieli go nie tylko zawodowi czytelnicy (nie muszą podkreślać walorów narracyjnych książki). Jest niewątpliwie – posłużyć się żartobliwym terminem Witkacego – jego filozoficznym Hauptwerkem. A propos: wiadomo, że S. I. Witkiewicz miał ambicje filozoficzne serio, natomiast jego praca **Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia** (1935) jest kompletnym gniotem, nie do czytania (kiedyś pelen dobrej woli chciałem ją przeczytać, skończyło się na przejrzeniu). O czym to książka? Posłużyć się cytatem ze skrzydełka (autorstwa zapewne Falkiewicza): *Jakim okolicznościom ludzkość zawdzięcza swą prawdziwą wiedzę? Na czym ugruntowana jest jej władza trafnego orzekania?* Tyle o **Istnieniu i metaforze**: po lekturze doszedłem do smutnego (dla mnie!) wniosku, że u progu starości powinienem na nowo rozpocząć edukację przyrodniczą, matematyczną (a poniekąd także filozoficzną) od – powiedzmy – piątej klasy.

Książka Mieczysława Orskiego **A mury runęły** (W-ctwo Waclaw Bagiński, Wr. 1995) ma nieco mylący podtytuł, bowiem dotyczy ona nie *nowej literatury*, co prozy ostatnich kilkunastu lat. Oto Orski wywyższa i poniża, jak przystało na odważnego krytyka. Orskiemu bardzo się nie podobają autorzy, których Bereza przypisał do „rewolucji artystycznej”, nie podobają mu się także niektórzy krytycy (np. Burek), sili się niekiedy na tanie złośliwości (nie wiem, czy pisownia nazwiska autora **Karamoro** – konsekwentnie 14 razy! – jako Dzędzon, to błąd drukarski, czy też innowacja krytyka – chyba jednak błąd, bo mimo wszystko chyba Orski aż tak nisko nie upadł), jakże mu

się nie podobają (wręcz go denerwują) książki Drzędzona, Łozińskiego, Bitnera (i wielu innych). Orski ma rzecz jasna swoich bohaterów pozytywnych (m. in. Latawiec, Siejak, Nowakowski, Chwin, Musiał, Myszkowski) i o nich głównie pisze. Niestety, Orski nie podał (z wyjątkiem jednego) kiedy i gdzie jego teksty były wcześniej publikowane (ja znam je głównie z *Odry*), bowiem niekiedy jego aluzje i odwołania stają się nieczytelne. Autor wymienia ponad sto nazwisk, omawia prawie 50 książek – to niewątpliwa zaleta. Dobrze czy źle – byle po nazwisku! Krytyk ma prawo do swoich fobii, byle tylko nie ustawiał się w roli Kapłana Literatury (a Orski nieraz za takiego się podaje). Jeden szkic („Kazimierz Orłoś: socrealizm na odwrót”), a może tylko tytuł, zaskoczył mnie: ataki na „szkołę Berezy” zapewne mile zostały przez „warszawkę” i „krakówkę” przyjęte, a tu takie nierozważne stwierdzenie, że jeden z liderów literatury opozycyjnej po prostu pisze słusznie, ale kiepsko (co jest zresztą tajemnicą poliszynela), to brzydkie puszczanie bąka w salonie. Orski zna chyba obszerną polemikę Orłosa (+*Plus-Minus*, chyba maj 96), który wielce się obraził na młodego badacza, Przemysława Czaplińskiego (O realizmie antysocjalistycznym, *Teksty Drugie* 1995, nr 1), a z której wynikało, że autor **Cudownej meliny** ma znakomite mniemania o swoich dokonaniach. Czyli: czytajcie także Orskiego, czasem nie boi się nawet warszawiaków... Zgadzam się całkowicie z Orskim, gdy pisze (s. 20), że *nasza literatura nadal istnieje i na ogół ma się wcale nieźle*.

## 25 książeczek z kołatką

Metalowa kołatka z literą W przymocowana jest do bramy jednego z wrocławskich domów; ona też stała się znakiem wyróżniającym Bibliotekę Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W l. 1993-1996 w czterech seriach ukazało się 25 tytułów (w tym 21 poetyckich i 4 prozatorskie). W druku – seria V. Są to głównie pozycje członków SPP, ale także debiutantów (ukazało się ich 5: Michalak, Majeran, Klimczak, Witek, Grzesiowski). Wszystkie zbiorki ukazały się w nakła-



dzie 500 egz., a edycję sfinansował Urząd Wojewódzki we Wrocławiu (jedną – UWoj. w Opolu, a do kilku dorzucił kilka groszy Urząd Miejski we Wrocławiu). Pracami redakcyjnymi i technicznymi zajmują się członkowie Oddz. SPP, więc koszty wydawnicze są co najmniej 50% mniejsze niż w profesjonalnej oficynie. Formalnym wydawcą serii I była oficyna „Pluton” w Świdnicy, a serii II – IV – Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu.

Nie podejmuję się tu jakiegokolwiek oceny zbiorów. To raczej tekst informacyjny i reklamowy. I autoreklamowy. Bowiem w Bibliotece ukazał się i mój zbiorek małych próz. A ponadto byłem recenzentem wewnętrznym kilku tomików poetyckich. Wystarczy rzucić okiem na spis autorów, by się przekonać, że pojawiły się książeczki autorów o znanych nazwiskach (Łukasiewicz, Styczeń, Dyczek, Benka, Janko, Zawada), jak i prawie anonimowych. Każdy zbiorek jest inny, nie było dwóch podobnych, to znaczy, że każdy autor idzie swoją własną ścieżką. Oczywiście, ani jedna z tych 25 książeczek nie stała się bestsellerem, ale wszystkie zostały zauważone w pismach literackich (niektóre tytuły omawiano w ośmiu, dziesięciu pismach, inne tylko w jednym, dwu). Najmniej uwagi serii z literą wrocławską poświęciła – oczywiście – prasa wrocławska...



## BIBLIOTEKA WROCLAWSKIEGO ODDZIAŁU

### STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

#### SERIA I (1993)

1. Jacek Łukasiewicz — "Mali mistrzowie"
2. Salomea Kapuścińska — "Modrzewie"
3. Czesław Sobkowiak — "Na własny rachunek"
4. Stanisław Pasternak — "Opinie"
5. Antoni Matuszkiewicz — "Droga do Iwonicza"
6. Jarosław Michalak — "Ładny początek"

#### SERIA II (1994)

1. Janusz Styczeń — "Poezja mroku"
2. Karol Maliszewski — "Młody poeta pyta o —"
3. Tomasz Majeran — "Elegia na dwa głosy"
4. Marian Jachimowicz — "W blasku istnienia"
5. Jerzy B. Kos — "Pergamin piasku"
6. Jerzy Pluta — "Stacja metra: Franz Kafka"

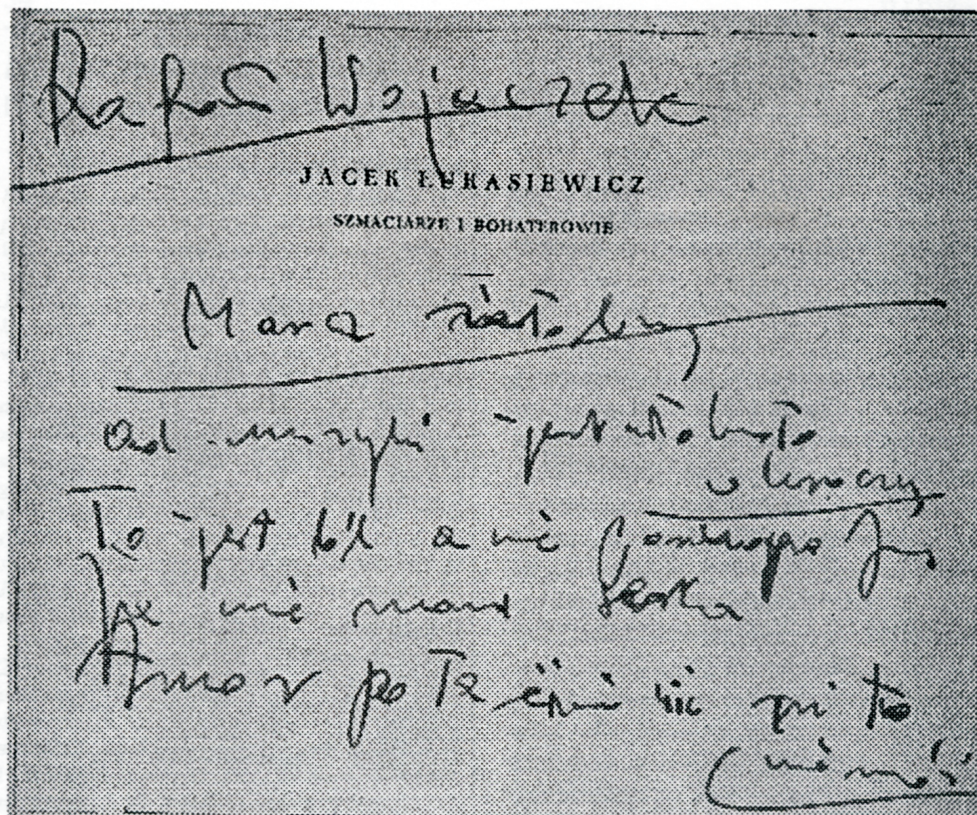
#### SERIA III (1995)

1. Urszula M. Benka — "Córka nocy"
2. Adam Poprawa — "Koncert na adwent"
3. Anna Janko — "Zabici czasem długo stoją"
4. Piotr Klimczak — "Wnętrze spojrzenia"
5. Maciej Niemiec — "Małe wiersze"
6. Ernest Dyczek — "Termity"

#### SERIA IV (1996)

1. Henryk Wolniak — "Głodobogi"
2. Leszek Budrewicz — "Złodziej cukierków"
3. Wojciech I. Strugała — "Rozmontowany pociąg"
4. Andrzej Zawada — "Bresław"
5. Rafał Witek — "Drugi człowiek"
6. Maciej Grzesiowski — "Boże nie umieraj"
7. Irena Wyczółkowska — "Gwar utajony"





## To jest ból...

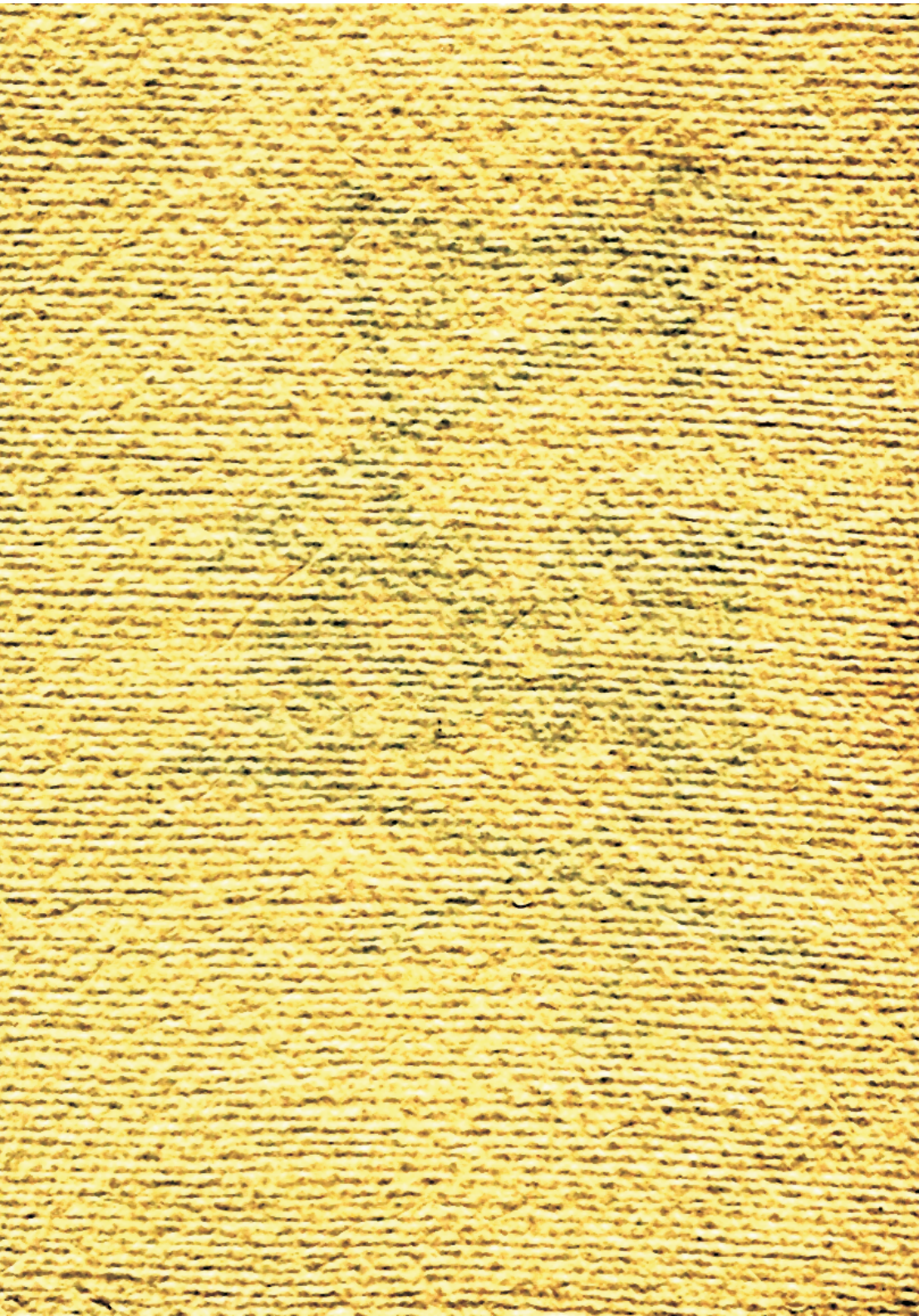
O ile się nie myłę, czterozwrotkowy „Marsz żałobny” nie był za życia poety publikowany. Ukazał się dopiero w *Utworach zebranych* (1976), gdzie widnieje data: 1964-1966. Wojaczek jednak często go czytał/recytował (a prawie wszystkie swoje wiersze znał na pamięć). Gdy pojawił się (z Januszem Styczniem, do którego dosiadł się w „empiku”) 3 marca 1966 r. na poetyckim „Czwartku literackim” (J. Łukasiewicz, M. Miszewski, T. Zasadny) w Piwnicy „Pod Zieloną Latarnią” Domu Związku Twórczych, stał się poniekąd bohaterem wieczoru: komentował głośno i ironicznie wiersze oraz wypowiedzi dyskutantów. Wtedy po raz pierwszy ujawnił się w środowisku literackim. Debiutował w grudniowej *Poezji* (1965, nr 1), jego wiersze wywoływały zachwyty i oburzenia, a autora – mimo że wiadano, iż mieszka od kilkunastu miesięcy we Wrocławiu – nikt nie widział. Tego dnia i ja poznałem Rafała. Po spotkaniu, w kawiarni Klubu Związków Twórczych w gronie kilku młodych pisarzy piliśmy wódkę. Wojaczek –

już po wielu głębszych – w nastroju euforycznym recytował swoje wiersze, m. in. „Marsz żałobny”, który uznał za jeden z najbardziej prowokacyjnych. Poprosiłem go, by wpisał pierwszą zwrotkę na s. 1 książki Łukasiewicza. Później mówił, że zmienił niektóre słowa, bo wie, że i tak nikt nie odważy się tego wiersza wydrukować. Przytoczył także tekst bez autocenzury; podsunąłem mu kawałek papieru, by i tę wersję zapisał. Mam więc także zapis dwuzwrotkowy. Pierwsza zwrotka nie różni się od tej później drukowanej, natomiast w. 4 drugiej zwrotki w moim rękopisie składa się tylko z literki *p*. (słowa tego w recytacji nie skrócił, co wywołało oburzenie siedzącego obok młodego poety, który miał w rodzinie dwóch wujków księży). W wersji przyzwoitej czytamy o księdzu:

*Że nawet w czasie Podniesienia myśli  
o pożyczkowych dłoniach*

Ale i tak w obecnie znanej wersji nie jest to wiersz dla grzecznych dziewczynek.







Jenny

Pluta

---